CZWARTEK Nr 54 8 V 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

...Był to reportaż o zwykłych młodych ludziach w harcerskich mundurach, którzy postawieni w sytuacji ostatecznej – życia lub śmierci, jakby tego nie dostrzegali i bez wielkich słów podjęli decyzję walki do końca, niepoddawania się. Bo uznali, że jest to po prostu ich obowiązkiem...

PRZEŻYLI, CHOĆ PRZEŻYĆ NIE MIELI

str. 5

Doszli do miasta od zachodu. Przebijali się w huku eksplozji, rozbłyskach wystrzałów, w dymie przez berlińskie ulice. Ale noc z 1 na 2 maja 45 roku należała do spokojniejszych. 8 bateria III dywizji czekała na rozkazy. Dla młodego podporucznika spokój był tylko pozorny. Koledzy spali, a on patrzył kilkadziesiąt metrów w górę, na szczyt berlińskiej kolumny zwycięstwa. Żeby tak polską flagę zawiesić – pomyślał Troicki...

MUSIAŁEM DOJŚĆ TAM RAZ JESZCZE

str. 4

...O czynach polskiego żołnierza, który pierwszy zbrojnie przeciwstawił się hitlerowskim planom podboju Europy, a potem może i całego świata i który walczył z nim najdłużej, wiemy prawie już wszystko. Mniej, a w niektórych przypadkach zupełnie nieznany jest udział w tej zwycięskiej wojnie polskiego naukowca i inżyniera, czyli – polskiej myśli naukowo-technicznej.

WYNALAZKI, KTÓRE POMOGŁY WYGRAĆ II WOJNĘ ŚWIATOWĄ

str. 4

... Idąc drogami, polami doszedłem do jakiegoś miasta. Było całkowicie wyludnione, nikt nie witał nas kwiatami. Jakaś kobieta, widząc polski mundur, dała mi goździk. Kwiat miał złamaną łodygę. Był to kwiat od Polski. To witała mnie Polska, upragniona i oczekiwana...

ZŁAMANY GOŹDZIK

str. 5

Plakat T. Trepkowskiego

XVI ALERT NACZELNIKA ZHP TRWA!

a ALERT ZHP

„W hołdzie zwycięzcom w służbie dla pokoju"

W dniach od 7 do 9 maja br. w całym kraju realizowane są zadania ogłoszone w rozkazie Naczelnika ZHP.

Wczoraj czyli 7.05 wszyscy harcerze organizowali dyskusje, obrady, sejmiki na tematy związane z sytuacją ich rówieśników na całym świecie. Szczególnie wiele miejsca poświęcono dzieciom żyjącym w Trzecim Świecie. Skonfrontowano warunki ich bytu z sytuacją dzieci w krajach socjalistycznych.

Dzisiejszy dzień przebiega pod znakiem sportu. We wszystkich szkołach odbywają się wieloboje sprawnościowe. W ich organizacji pomagają przedstawiciele LWP, kluby sportowe oraz rodzice.

Jutro zaś zapowiada się dzień najobfitszy w alertowe działania. Wszystkich czeka czyn alertowy. Powinien być przeprowadzony w tych miejscach, które rzeczywiście wymagają Waszej pracy. Jednocześnie realizowane będzie zadanie „Polskie Drogi". Zakłada ono poznanie historii walk naszego narodu, bohaterów tamtych lat. Będzie również okazją do wzbogacenia zbiorów szkolnych Izb Pamięci Narodowej. Wieczorem zaś spotkacie się przy ognisku.

W następnym numerze znajdziecie relację z Alertu realizowanego w Szkole Podstawowej w Baniosze.

(ach)

CHOCIAŻ Z KŁODZKA DO MORZA DALEKO...

W związku z apelem szefa Klubu Przyjaciół m/s „Leonid Teliga" postanowiliśmy włączyć się do akcji budowy „Daru Młodzieży". Na wniosek członków modelarni szkutniczej działającej przy naszej szkole zarząd Szkolnego Koła Ligi Obrony Kraju zorganizował zbiórkę opakowań szklanych. Starsza grupa uczniów (klasy V–VIII) aktywnie włączyła się do akcji LOK-u. Uzyskaną ze sprzedaży butelek kwotę 560 zł przekazaliśmy dnia 20.III na konto budowy „Daru Młodzieży".

Ten skromny wkład niech będzie dowodem naszego zaangażowania w sprawy całego kraju, jak i dowodem naszej więzi z polskim morzem, chociaż od Kłodzka do morza daleko.

Zarząd Szkolnego Koła LOK
Majewska
Skotnicki

Potwierdzam dokonanie wpłaty: Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 7 Marian Jackowiak

DOCHÓD Z LOTERII FANTOWEJ NA „DAR MŁODZIEŻY"

Szczep HSPS działający przy Liceum Ogólnokształcącym i Liceum Rolniczym w Jedwabnem wpłacił na „Dar Młodzieży" kwotę 657 zł. Zarobiliśmy ją samodzielnie. Zorganizowaliśmy dla zuchów i harcerzy ze szkoły podstawowej loterię fantową, z której dochód przeznaczyliśmy na następcę „Białej Fregaty".

Z-ca Komendanta Szczepu
dh Joanna Dąbrowska

Potwierdzam wpłatę – Komendant Hufca ZHP Stanisław Borawski phm

Radzieccy pionierzy otrzymali już Wasze „Listy do Ojczyzny W.I. Lenina"
I etap tegorocznego konkursu znajomości języka rosyjskiego – rozstrzygnięty, pod koniec maja – rozgrywki finałowe

KTO SPĘDZI TEGOROCZNE WAKACJE NA OBOZIE PIONIERSKIM W ZWIĄZKU RADZIECKIM?

Kasia Baruch z Olsztyna, **Małgosia Derza** z Kraśnika, **Józek Forystek** z Rzeszowa, **Paweł Gajewski** z Piotrkowa, **Lilka Kozioł** z Gromadki w woj. legnickim, **Basia Lizak** z Rzeszowa, **Renata Majewska** z Gromadki, **Kasia Małecka** z Katowic, **Ewa Maruszewska** z Będzina, **Dorota Michniewicz** z Gołdapi, **Justyna Młynarczyk** i **Beata Nowicka** ze Strzałkowa k/Radomska, **Joasia Pecio** z Polic, **Justyna Pierzchała** z Katowic, **Marek Radziszewicz** z Bierzwnika w woj. gorzowskim, **Ewa Szczodruch** z Olecka, **Ula Szydło** z Białogardu, **Zosia Szymańska** z Iwanisk w woj. tarnobrzeskim, **Beata Wójcik** z Szarowa w woj. krakowskim i **Andrzej Zagórski** z Krakowa – oto laureaci I etapu tegorocznego konkursu znajomości języka rosyjskiego, zakwalifikowani przez jury pracujące pod przewodnictwem pani Taisy Zweiman, pracownika naukowego Instytutu Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Warszawskiego do rozgrywek finałowych. Odbędą się one w ostatnich dniach maja w Warszawie, a ich wynik zadecyduje o tym, kto z wyżej wymienionych spędzi tegoroczne wakacje na obozie pionierskim w Związku Radzieckim. Bo taką właśnie nagrodę ufundowała Główna Kwatera ZHP dla zwycięzców tego konkursu – dla tych, którzy najlepiej, najswobodniej władają językiem rosyjskim, dla tych, którzy wykażą się największymi wiadomościami o Związku Radzieckim i o Organizacji Pionierskiej im. W.I. Lenina. Gratulując zwycięzcom I etapu zakwalifikowania się do finału życzymy im – powodzenia! Przypuszczamy, że i Wy będziecie „trzymać palce" za swoich przyjaciół i kolegów, prawda?!

Ale tegoroczny konkurs był konkursem niejako... na marginesie. **Chodziło przede wszystkim o spełnienie prośby radzieckich pionierów, którzy zwrócili się do Was za naszym pośrednictwem o informacje o tych miejscowościach w Polsce, w których przed laty przebywał Włodzimierz Iljicz Lenin.** Stąd zresztą i nazwa konkursu – „List do Ojczyzny W.I. Lenina". Tak jak przypuszczaliśmy, nie zawiedliście. Otrzymaliśmy od Was tych listów prawie 200. Niektóre były bardzo obszerne i szczegółowe, wiele uzupełnionych było mapkami, zdjęciami, widokówkami. Bardzo Wam za nie w imieniu radzieckich kolegów dziękujemy. Najprawdopodobniej zresztą podziękują oni poszczególnym autorom sami, **Wasze listy dotarły już bowiem do adresatów.**

W dniach 15–21 kwietnia br. przebywała w Polsce na zaproszenie Głównej Kwatery ZHP delegacja Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej im. W.I. Lenina, z jej przewodniczącą, sekretarzem KC Komsomołu, Aleftiną Fiedułową. W składzie delegacji znajdował się również zastępca redaktora naczelnego naszej bratniej gazety, „Pionierskiej Prawdy", Wiktor Smirnow. W ostatnim dniu wizyty przekazaliśmy im w Waszym imieniu Wasze listy. **(ek)**

O tym warto wiedzieć

AFGANISTAN W DWA LATA PO REWOLUCJI KWIETNIOWEJ

Kraj ten o powierzchni przeszło dwukrotnie większej od Polski (647,5 tys. km kw.) zamieszkuje ponad 17 milionów ludzi. Afganistan, zajmujący obszary górzyste, pustynne i półpustynne, należy do jednych z najbiedniejszych i najbardziej zacofanych krajów świata, w większości tkwiący jeszcze w epoce feudalnej. Ale nie brak bogactw naturalnych był i jest przyczyną nędzy. Spowodował ją system społeczny. Na skutek wielowiekowych rządów monarchistycznych, wspieranych przez arystokratyczną elitę i szefów plemiennych, kraj ten pozostawał jak gdyby na marginesie współczesnej cywilizacji. Pierwszego wyłomu w tym feudalnym zastoju dokonano w 1973 roku, gdy obalono monarchię, ustanawiając republikę. Na jej czele stanął prezydent, zresztą kuzyn króla, Daud Khan. Początkowo Daud cieszył się poparciem postępowych kręgów społecznych, ponieważ podejmował próby wyciągnięcia kraju z zacofania poprzez wprowadzanie reform. Wkrótce okazało się, że jest to tylko manewr taktyczny, w rzeczywistości Daud szybko związał się z elitą plemienną i kręgami konserwatywnymi duchowieństwa muzułmańskiego. Jednocześnie zaczęły się rządy twardej ręki, zakaz działalności partii politycznych itd. Musiało to doprowadzić do wybuchu. I tak też się stało. 27 kwietnia 1978 roku reżim Dauda został obalony, powstała Demokratyczna Republika Afganistanu.

Motorem rewolucji kwietniowej były siły postępowe i partie lewicowe zjednoczone w Ludowo-Demokratycznej Partii Afganistanu. Na czele Rady Rewolucyjnej stanął Nur Mohammad Taraki. Opracowano plan reform społecznych, których celem miało być wprowadzenie w życie reformy rolnej, uprzemysłowienie w oparciu o sektor państwowy, likwidacja bezrobocia i analfabetyzmu oraz demokratyzacja życia publicznego. Większość światłych mieszkańców kraju z zadowoleniem przyjęła zapowiedź realizacji postępowych reform. Okazało się jednak, że Rada Rewolucyjna nie wzięła pod uwagę wiekowych opóźnień wsi afgańskiej, przywykłej do słuchania wodzów plemiennych i duchowieństwa. A ci podburzali masy przeciwko władzom rewolucji, wykorzystując chwytliwe i demagogiczne hasła obrony wiary muzułmańskiej przed „komunizmem". Prawda, że i władze rewolucyjne popełniły błędy; zbyt szybko chciano nadgonić stracony przez poprzedników czas. Zabrakło rozwagi i cierpliwości w wyjaśnianiu prostym przecież i niepiśmiennym chłopom celu rewolucji. W kraju, podburzonym przez kontrrewolucję, zaczęło dochodzić do zamieszek i niepokojów. Sytuacja jeszcze bardziej skomplikowała się jesienią ubiegłego roku, gdy rządy objął Amin. Prześladowania i represje stosowane przez Amina doprowadziły kraj na krawędź wojny domowej. A co najgorsze, mogły doprowadzić do całkowitej klęski rewolucji. Zapobiegł jej dopiero kolejny przewrót w Kabulu, po którym władzę objęła ekipa pod kierownictwem Barbaka Karmala. Jednocześnie na prośbę rządu Afganistanu w tym krytycznym momencie Związek Radziecki udzielił DRA pomocy wojskowej.

Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Nowe władze w swym programie reform nawiązują do początków rewolucji kwietniowej, do jej ideałów. Przekształcenie Afganistanu w kraj demokratyczny i postępowy będzie procesem rozłożonym w czasie. Tylko poprzez cierpliwą pracę uświadamiającą, podnoszeniem oświaty rewolucja kwietniowa ma szansę osiągnąć swe cele. (b)

BILANS 1945

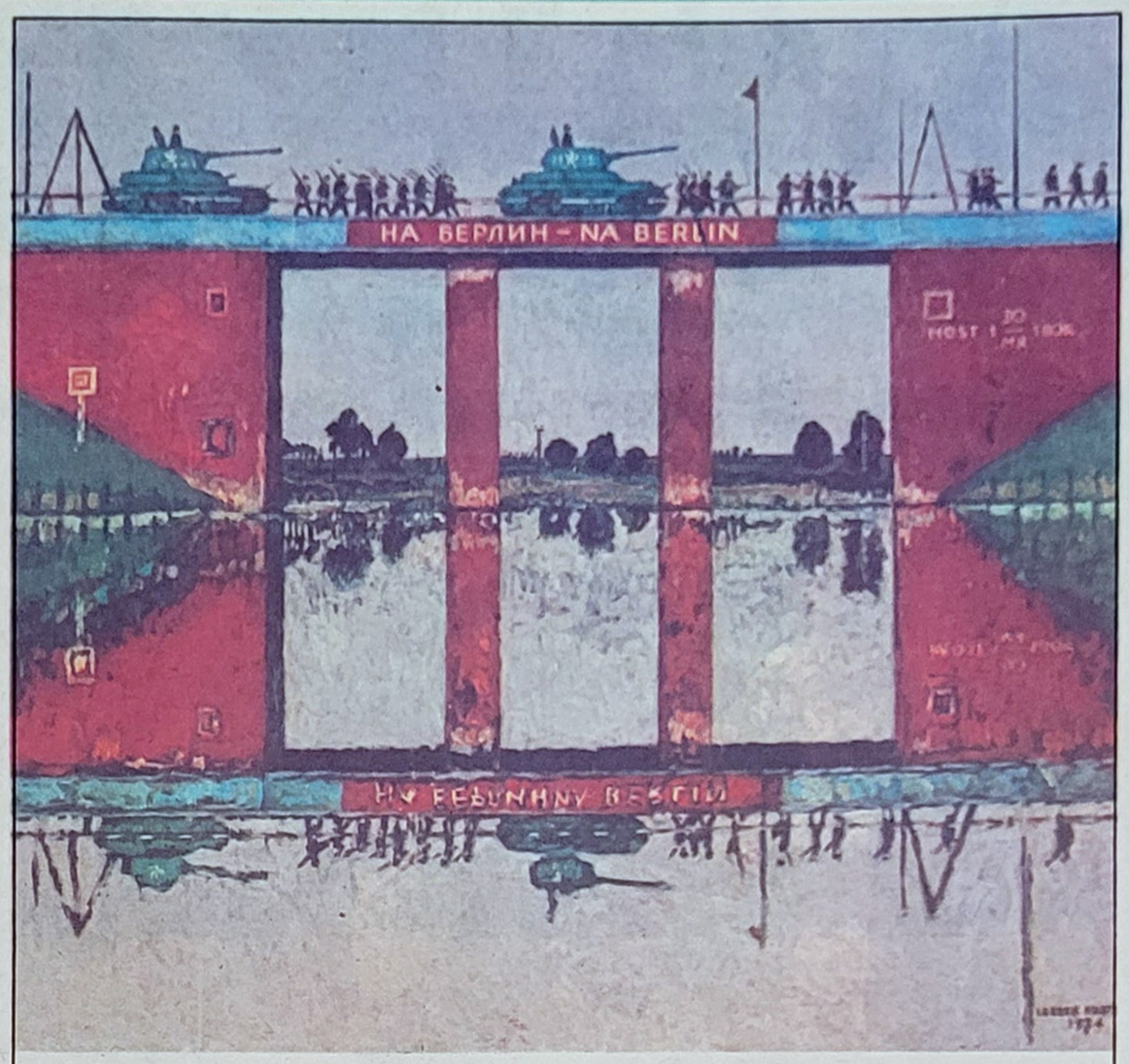

KIEDY SIĘ WYPEŁNIŁY DNI I NADSZEDŁ CZAS ZWYCIĘSTWA

Historyk zanotował: „szło 185 tysięcy zbrojnych". Znad Odry i Nysy ruszyło na Berlin w ostatniej wielkiej ofensywie na froncie wschodnim II wojny światowej. Tyle było na pierwszej linii działań, w okopach w kwietniowym błocie wiosny 1945 r. A w sumie? W 11 związkach taktycznych dwóch polskich armii, w służbach tyłów, w transportach uzupełnień, w ośrodkach szkolenia było ponad 400 tysięcy żołnierzy ludowego wojska. Dysponowali oni bogatymi środkami techniki wojennej – około 3 tysiącami dział i moździerzy różnych kalibrów, przeszło 500 czołgami średnimi i ciężkimi, 330 samolotami. Były to siły, których zdolności prowadzenia operacji wojskowych, siła ognia znacznie przekraczały możliwości, jakimi dysponowała dużo przecież liczniejsza polska armia sprzed września 1939. Ale nie o proste porównanie tu chodzi. Ważniejsze, że ta armia była, że pojawiła się na terenach, których zwrotu domagaliśmy się. Obsadziła 40-kilometrowy odcinek frontu w dniach, kiedy decydowała się przyszłość naszego kraju, kiedy za pełnymi kurtuazji depeszami dyplomatycznymi opatrzonymi nagłówkiem „ściśle tajne" kryła się ostra walka o przyszły kształt terytorialny Polski.

400 tysięcy ludzi – to dużo. Tym więcej, gdy weźmie się pod uwagę warunki, w jakich powstawała ta armia. „Nie mieliśmy nieraz munduru dla zmobilizowanego żołnierza, więc wojsko tygodniami chodziło w przyniesionych z domu łachmanach, nie dojadało, nie miało ni dachu nad głową, ni ciepłego pieca, ni suchej onucy, ni tytoniu na skręta, a nieraz i kawałka chleba. Nie miało koszar, magazynów, koni, nawet prostych chłopskich wozów... Mimo wszystko wojsko było, rosło, szkoliło się."

A działo się to wszystko na skrawku kraju, wyzwolonym do końca lata 1944 r. w tzw. Polsce lubelskiej, na 78 tysiącach kilometrów kwadratowych, zamieszkałych przez około 5,6 miliona ludzi. Tam kładziono podwaliny pod odbudowę, organizowano siły, które były zaczątkiem życia na wyzwalanych w zimowym natarciu i przejmowanych przez polską administrację Ziemiach Zachodnich. Wojsko torowało tam naszą obecność, organizowało lub wspierało pierwsze poczynania administracyjne, gospodarcze, osiedleńcze. Służyły temu jednostki specjalne: formowano np. jeden pułk i 36 batalionów saperów, 12 batalionów drogowo-mostowych, 10 batalionów roboczych, kilkanaście jednostek łączności, kompanii samochodowych. W grudniu zorganizowano 4 pułki zaopatrzeniowe dla wykonania funkcji ochronno-aprowizacyjnych na wyzwalanych ziemiach. Po rozpoczęciu ofensywy styczniowej siły te uzupełniło jeszcze 9 batalionów odbudowy Warszawy i 6 pułków rolno-gospodarczych, które zajęły się pracami polowymi w gospodarstwach Pomorza Zachodniego.

Nasze aktywa w ostatnim okresie II wojny światowej nie ograniczały się tylko do wschodniego teatru działań bojowych. Byliśmy na froncie zachodnim. Byliśmy na lądzie, morzu i w powietrzu. Według stanu na dzień 1.V.1945 roku Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie liczyły nieco ponad 194 tysięcy żołnierzy. Siły lądowe zaangażowane w działaniach na froncie zachodnim i we Włoszech dysponowały 950 działami i moździerzami, 1330 czołgami, działami pancernymi i prawie 5 tysiącami transporterów opancerzonych. Marynarka wojenna liczyła: 1 krążownik, 6 niszczycieli, 3 okręty podwodne, 5 ścigaczy; siły lotnicze: kilkaset samolotów myśliwskich, szturmowych i bombowych.

Cóż znaczył ten wysiłek? Ograniczmy się w tych rozważaniach do obszaru Niemiec hitlerowskich, które wiosną 1945 roku stały się terenem końcowych działań II wojny światowej. Na Zachodzie jedna silna dywizja pancerna dowodzona przez gen. Maczka. Na Wschodzie dwie armie – 185 tys. ludzi. Już to zestawienie przekonuje, gdzie skoncentrował się główny wysiłek Polski. Gdzie armia polska, przez swoją liczebność, przez udział w decydujących walkach dobijających hitlerowską Rzeszę mogła wpływać na rozwój wydarzeń. Gdzie wreszcie była siłą zdolną do realizowania polskiej polityki, do wsparcia naszego narodowego interesu, oparcia zachodniej granicy kraju o linię Odry i Nysy Łużyckiej, 185 tys. żołnierzy I i II Armii Ludowego Wojska Polskiego trzymało 1/10 linii frontu radziecko-niemieckiego od Sudetów do Bałtyku. Były to siły, które miały duże znaczenie dla radzieckiego dowództwa, powierzono im zresztą ważne kierunki działań, mające spore znaczenie dla wykonania ataku na Berlin.

Udział w finale wojny miał dla Polski, dla Polaków, nie tylko znaczenie symbolu. Władzom PKWN, dowództwu ludowego Wojska Polskiego, wbrew trudnościom w tak pospiesznym tempie organizującym siły zbrojne od połowy 1944 r., nie chodziło jedynie o efektowne potwierdzenie dziejowej sprawiedliwości. Mieć szybko armię walczącą na froncie – znaczyło wówczas: mieć wpływ na szybsze zakończenie wojny. A dla Polski miał znaczenie każdy dzień. Bo każdy dzień okupacji naszego kraju przynosił przecież śmierć ok. 3 tys. obywateli, wywóz dziesiątków tysięcy na roboty przymusowe, przynosił zniszczenie lub utratę majątku narodowego wielomilionowej wartości.

Ale nie tylko te względy, choć niewątpliwie bardzo ważne, przemawiały za szybką rozbudową ludowych sił zbrojnych, ich możliwie największą liczebnością, siłą bojową. Chodziło o Ziemie Zachodnie.

Oddajmy głos nieżyjącemu już dziś historykowi i publicyście, płk. Zbigniewowi Załuskiemu, autorowi książki „Finał 1945".

„...Na opinię wielkich mocarstw i na możliwości realizowania przez nie swoich tak bardzo, jak wiemy, rozbieżnych poglądów na sprawę przyszłości ziem między Odrą i Wartą, na sytuację, w jakiej ostatecznie rozpatrywana będzie kwestia granicy zachodniej, mogła więc Polska najskuteczniej wpłynąć poprzez użycie swoich sił na właściwym – politycznym i wojskowym – kierunku działania.

Mogła ten swój wzmożony i demonstracyjny wysiłek zbrojny skoncentrować właśnie na ziemiach, których rewindykacji się domagała, zwłaszcza na terenach najbardziej kwestionowanych. Mogła tu szeregiem czynów zbrojnych pokazywać światu, jak bardzo te ziemie są nam niezbędne, jeśli decydujemy się toczyć o nie krwawe boje nawet w ostatnim okresie wojny. Mogła obecnością naszego żołnierza dowodzić kategorycznego zdecydowania objęcia tych ziem – nawet natychmiast.

Mogła wreszcie Polska ruchem swoich armii na zachód torować – w sensie militarnym i moralnym, i w sensie techniczno-organizacyjnym nawet – drogę pierwszym rzutom techników i administratorów, robotników i chłopów polskich, armie zaś te mogły stać się pierwszym czynnikiem porządku, gospodarności i ładu na tych ziemiach. Ładu już polskiego.

Mógł wreszcie żołnierz polski stać się oparciem dla zagubionej w wojennym wirze miejscowej ludności polskiej, dla setek tysięcy uwolnionych robotników polskich, byłych więźniów i jeńców przebywających na tych terenach, dla pierwszych przybyszów z ziem starych, którzy razem stanowili kiełki nowego życia tych ziem.

Krótko mówiąc, mogła Polska na szalę przyszłych rozstrzygnięć rzucić krew i pot swojego żołnierza (...) Właściwy kierunek strategiczny i polityczny wysiłek polskiego żołnierza tworzył fakty wiążące Ziemie Zachodnie ze starym krajem i w sensie duchowym, i realnie – już przez to samo, że tam byliśmy, zaczynaliśmy usuwać zniszczenia, gospodarzyć, organizować. I tak się też stało..."

I to nadaje polskiemu udziałowi w finale wojny sens największy. Wyznacza prawdziwą historyczną wartość naszego udziału w zwycięstwie nad III Rzeszą.

Oprac. **kp**

Na podstawie książki płk. Zbigniewa Załuskiego „Finał 1945". Dane o Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie zaczerpnięto z „Encyklopedii II wojny światowej".

Sucha sprawa

Powszechnie dziś wiadomo, że chleb, tradycyjny dodatek do każdego posiłku jest jakby gorszy, szybko się zsycha i już po dwóch dniach właściwie nie nadaje się do spożycia. Tak więc z dnia na dzień w każdym niemal domu zbiera się spora ilość suchego pieczywa, zdawałoby się nikomu już niepotrzebnego. Piszę „zdawałoby się niepotrzebnego", gdyż w istocie suchy chleb jest niezwykle cennym i poszukiwanym surowcem do produkcji paszy dla trzody chlewnej.

Jest jeden problem; w jaki sposób przekazywać to suche pieczywo? Jeszcze do niedawna w każdym niemal bloku stały pojemniki przeznaczone na ten cel. Niestety, służyły one wszystkiemu, tylko nie temu po co zostały ustawione. Teraz nawet i pojemniki gdzieś zniknęły, tyle że pojawiły się w ich miejsce karty informujące o harcerskiej akcji zbierania chleba. Nie wszędzie. Ale młodzież harcerska z czterech szkół podstawowych Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej zawiadamia, że tego a tego dnia będzie zbierała suchy chleb i w związku z tym uprzejmie prosi o wystawienie go przed drzwiami swoich mieszkań. No i fajnie. Nareszcie gospodynie odetchnęły, że pozbędą się szczelnie wypchanych chlebem siatek. „Nareszcie ktoś ruszył głową" – mówiły między sobą po przeczytaniu informacji.

W dwa tygodnie później ze zdziwieniem przeczytałam zamieszczoną w „Kurierze Lubelskim" informację, w której jeden z dziennikarzy wylewa swoje żale pod adresem harcerzy: twierdzi, że są leniuchami, gdyż niesystematycznie zbierają suchy chleb, cała akcja jest wg niego do niczego, gdyż on sam... nie nadający się do użycia chleb musi wyrzucać codziennie, a nie raz w miesiącu. A więc niechże harcerze wezmą się solidnie do roboty, bo inaczej całe jego mieszkanie zawalone będzie suchym chlebem. Taka harcerska praca świadczy jedynie o niesystematyczności, niegospodarności i nieodpowiedzialności.

Nie przekonana tymi argumentami, wręcz nieco zdenerwowana, zainteresowana tym, jak jest naprawdę, poszłam do harcerzy.

„Zbiórkę suchego chleba rozpoczęliśmy w jesieni – opowiada druhna Halina Gogolin – wydawało nam się, że nie będzie problemu ze sprzedażą, wszędzie przecież tyle się mówi i pisze, jak cenny jest suchy chleb. Już po pierwszej naszej zbiórce nie mieliśmy odbiorcy. Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Tomaszowicach odmówiła, tłumacząc się, że nie opłaca im się przyjeżdżać po dwieście kilogramów. Parę ton to, owszem, wzięliby, ale w jaki sposób harcerze mają zebrać parę ton? Gdzie to magazynować? Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Tiurce może i wzięłaby, ale byłyby kłopoty z zapłatą. Płacić można wyłącznie przelewem, a harcerze nie mają konta. Spółdzielnia proponuje, że wpłaci na książeczkę Komitetu Rodzicielskiego. Pertraktacje trwają. Czas płynie, chleb już spleśniał. Musieliśmy wyrzucić go na śmietnik."

Po tych nieudanych próbach zapanowało zniechęcenie. Niby potrzebny ten chleb, a w końcu nikt go nie chce. Po cóż więc pisać o cennej paszy, skoro hodowcom nie opłaca się po nią przyjeżdżać?

Przez miesiąc harcerze nie zbierali chleba. Mieli do załatwienia inne sprawy. Jak choćby znalezienie odbiorcy. Tu nie chcą, tam im się nie opłaca. Wreszcie prywatny hodowca z Luszczowa nawet się ucieszył, że harcerze chcą z nim współpracować. To cenna rzecz – mówił – taka pasza jest bardzo bogata w składniki odżywcze. Szkoda, że pan redaktor, zanim siadł do maszyny, nie zapoznał się bliżej ze sprawą i zamiast krytykować nie pomógł harcerzom w ich kłopotach właśnie na łamach prasy.

Harcerze z rejonu LSM organizując akcję „zbieramy suchy chleb" otrzymali całkiem niezłą lekcję wychowania obywatelskiego. Całe szczęście, że nie wzięli przykładu z „nauczycieli" i nadal uparcie chleb zbierają.

DANUTA NIEDŹWIECKA

REDAKCYJNA POCZTA

Naprawdę czynni!

Należymy do drużyny zuchowej „Kosmiczna Przygoda". Z występami wyjeżdżaliśmy już do wielu miejscowości. Parę razy byliśmy w Domu Emerytów w Mgoszczu. Tam śpiewaliśmy piosenki i wystawialiśmy przedstawienia: „Księżniczka na ziarnku grochu", „Królewna Śnieżka" i inne. Śpiewamy również w zespole „Przygoda". Na zajęciach praktyczno-technicznych zrobiliśmy 70 wazonów i kupiliśmy do nich sztuczne kwiaty. Te wazony z kwiatami podarowaliśmy babciom z Mgoszcza. Chcemy, aby dzieci z innych szkół dowiedziały się o naszej działalności.

Zuchy z Bartelewa

Jak zapobiec fatalnej sytuacji?

Jestem gospodarzem szóstej klasy. Na początku roku szkolnego przyszła do nas nowa nauczycielka. Od pierwszych dni bardzo ją lubiłam. Wydaje mi się, iż pani ma do mnie zaufanie i także mnie polubiła. Ale kiedy zauważyły to koleżanki z mojej klasy, stały się po prostu zazdrosne. Na każdym kroku starają się mi dokuczyć. W mojej obecności celowo głośno wyrażają swoją antypatię do pani. Najgorzej jednak boli mnie to, iż złośliwie rozmawiają na lekcjach przez nią prowadzonych. Nie będę już wspominała o chłopcach, bo ci (z wyjątkiem dwóch), podjudzani przez koleżanki, zachowują się dosłownie skandalicznie. Jestem tą sytuacją bardzo przygnębiona. Co robić, aby temu zapobiec? Liczę na skuteczne rady czytelników.

„Kwiatek"

Obiecany list nie został wysłany

W czasie ferii poznałam chłopca, który ma na imię Marek. Zaprzyjaźniłam się z nim. Obiecał, że będzie do mnie pisał. Po powrocie do domu wysłałam do niego widokówkę, lecz nie otrzymałam odpowiedzi. Nie wiem, co o nim myśleć. Może był urażony, że ja pierwsza do niego napisałam?

Zawiedziona Ewa

OD REDAKCJI: Bardzo często, tak właśnie kończą się wczasowe sympatie. Nie czyń sobie wyrzutów, że to właśnie Ty pierwsza się odezwałaś. Widać wyraźnie że Marek nie ma ochoty na przedłużanie znajomości. Pozostaje pogodzić się z tą myślą. Może tegoroczne wakacje będą dla Ciebie bardziej szczęśliwe?

(wm)

Czy można zaufać?!

W tym roku poznałem dziewczynę z kl. VII. Początkowa przyjaźń szybko przeistoczyła się w miłość. Byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Szczęście to trwało jednak krótko. Od jakiegoś czasu zauważyłem, że Asia zaczęła mnie unikać, a momentami nawet ośmieszać przed koleżankami i kolegami. Pewnego dnia zobaczyłem ją idącą z moim kolegą. Szliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Zdobyłem się na to, aby spojrzeć jej w oczy. To nie one – pomyślałem. Tak niedawno łagodne, zakochane, stały się obojętne, zimne. Po chwili usłyszałem za plecami głośny szyderczy śmiech swojej byłej dziewczyny. Słyszę go do dziś. Chodzę jak obłąkany. Chyba już nigdy nie zaufam żadnej dziewczynie.

„Gucio"

OD REDAKCJI: Ta dziewczyna nie jest warta Twego zaufania. I to wcale nie dlatego, że jej „minęło". Uczucia mają to do siebie, że przemijają. Asia jednak zachowała się wobec Ciebie nielojalnie. Musisz sobie wytłumaczyć, że to po prostu nie ta dziewczyna. I nie nastawiaj się od razu, że wszystkie są złe i niekoleżeńskie. Z całą pewnością spotkasz taką, która będzie godna Twego zaufania. Głowa do góry!

BECZKA SOLI

Żeby kogoś dobrze poznać, trzeba podobno zjeść z nim beczkę soli. Skąd ją wziąć? Skąd się wzięła w Polsce? Co prawda każde dziecko wie, że to święta Kinga wniosła w posagu Bolesławowi Wstydliwemu kopalnię soli w Wieliczce, przeniesioną z Węgier, gdzie do szybu wrzuciła swój pierścień znaleziony potem w pierwszej bryle z Wieliczki, ale czy tak było naprawdę? Czym przyprawiano potrawy przed Kingą? Gdzie i po co wydobywamy dzisiaj sól kamienną?

Tak się tutaj dawniej sól wydobywało...

Zanim przyszła Kinga...

Przez setki milionów lat woda morska wzbogacała się w chlorek sodowy, pochodzący z wypłukiwania minerałów, źródeł podmorskich, gazów wulkanicznych. W gorących okresach morze odparowywało, pozostawiając grube warstwy soli na nieprzepuszczalnym podłożu. Nad złożami wytwarzały się pokłady gipsu, wytrącającego się na końcu. Teraz złoża soli nie obawiały się już rozpuszczenia w wodzie nowych mórz, zalewających z kolei suche obszary.

Polskie złoża soli pochodzą głównie z dwóch okresów geologicznych: na południu z miocenu (18–28 mln lat temu), na Kujawach i północy z permu (ok. 185–210 mln lat temu).

Na ziemiach polskich nie można było nigdy zastosować do otrzymywania soli sposobu, jaki mają do dyspozycji ludy mieszkające nad ciepłymi wodami – odparowywania wody morskiej w płytkich naturalnych lub sztucznych jeziorkach nadbrzeżnych, zwanych ogrodami solnymi. Nad Morzem Kaspijskim, na Cyprze, w Indiach i Chinach otrzymuje się w taki sposób wielkie ilości soli. Do celów spożywczych przekrystalizowuje się ją, gdyż bezpośrednio po odparowaniu z wody morskiej ma gorzki smak...

Ludy mieszkające w chłodniejszych strefach miały do dyspozycji słone źródła (saliny), o które poszczególne plemiona prowadziły czasem zacięte walki. Sól bywała nawet środkiem płatniczym, za nią można było dostać każdy towar.

Słoną wodę odparowywano w glinianych kadziach, stąd mówi się o warzeniu soli. Najstarsze ślady europejskie eksploatacji słonych źródeł pochodzą ze środkowego neolitu, czyli 3500–2500 lat p.n.e., a znajdują się w Baryczu koło Wieliczki (!). Saliny wielickie były wykorzystywane przez ludy kultury przeworskiej w I i II wieku n.e. Ale i Kujawy nie pozostały w tyle – niektórzy badacze sądzą, że sól kujawska była jeszcze w epoce żelaza (do IV w.) przedmiotem wymiany towarowej...

Saliny były źródłem dochodów książąt, wielmożów świeckich i duchownych. Panujący nadawali je zasłużonym rycerzom, klasztorom, krewnym, zastrzegając oczywiście spore daniny. Także saliny wielickie stały się w początkach państwowości polskiej własnością księcia. Z powodu swej wielkiej wydajności były nazywane Wielką Solą, *Magnum Sal*, jak głosi akt nadania przez Kazimierza Odnowiciela w 1044 r. prawa do pewnych ilości soli klasztorowi w Tyńcu. Pamiętać jednak trzeba, że zawsze była to sól warzona, otrzymywana z solanki.

Dopiero pod datą AD 1251, kiedy książę Bolesław z małżonką Kingą panowali już osiem lat, pojawił się w kronice zapis: ***„W Bochni, którą był Klimunt kasztelan krakowski córce swej Wysieniedze darował, sól z przygody u szewca w studni naleziona jest".*** A więc stało się to przypadkowo, przy pogłębianiu studni. Rok później w ten sam sposób odkryto złoża soli kamiennej w Wieliczce i rozpoczęto ich eksploatację, o wiele bardziej wydajną i opłacalną niż warzenie soli.

Książę Bolesław wprowadził monopol książęcy na sól, cofając wszystkie nadania dotychczasowe. Nie wzbudziło to z pewnością entuzjazmu wśród dotychczasowych odbiorców darmowej soli...

Sól z żup krakowskich

Kopalnie soli były zwane żupami i ta nazwa dotrwała do połowy XX wieku. Sól z Wieliczki i Bochni zaopatrywała całą Polskę południową, ziemie wschodnie otrzymywały sól z żup drohobyckich, „ruskich", które miały zaopatrywać również Wielkopolskę i Kujawy. Jednak mimo wprowadzania postępu technicznego do kopalni, zaopatrzenie kraju przekraczało możliwości żup krakowskich. Dochodziły do tego trudności transportowe, chociaż w okresie panowania Stefana Batorego rozwinięto transport Wisłą. Do Płocka, Warszawy, Nieszawy, Bydgoszczy płynęły więc barki z „rumem" solnym i na miejscu poddawano sól warzeniu.

Szlachta ziem Korony wywalczyła sobie w połowie XV wieku prawo nabywania pewnych ilości soli po cenach wydobycia, wydawaną w dni „suchego postu", co kwartał. Z dostawami były jednak trudności, zdarzyło się więc w 1712 r., że szlachta kujawska napadła w Nieszawie na transport soli przeznaczony dla Prus, wychodząc z założenia, że w pierwszej kolejności powinny być realizowane przywileje – nic to nowego pod Słońcem!

Sól kujawska

Kiedy po pierwszym rozbiorze Polski w 1792 r. Wieliczka dostała się pod panowanie Austrii, dostawy soli na Kujawy zupełnie ustały. Przypominano sobie wtedy o źródłach słonych pod Ciechocinkiem i Sejm Czteroletni podjął w 1791 r. uchwałę o rozpoczęciu wierceń. Dopiero za czasów Królestwa Polskiego, za sprawą Staszica, wybudowano w 1828 r. tężnie, czynne do dzisiaj. Wtedy zatężały solankę do 22% zawartości soli, dziś napawają powietrze solą, przyczyniając się do sławy uzdrowiska.

Warzelnia inowrocławska powstała w 1878 r. i pracuje do dzisiaj, chociaż solankę pobiera z odległej o kilka km kopalni w Solnie. Sól wydobywa się tu inaczej niż w Wieliczce – przez rozpuszczanie złoża wodą. Wydobyto już ponad 10 mln m³ soli, eksploatując kolejno 10 pokładów. Do dna jeszcze daleko, nawet odwiert głębokości 1,5 km nie wykazał końca złoża!

Kopalnia w Górze powstała w 1963 r., jest kopalnią otworową – tłoczy się wodę pod ziemię i z otworów wydobywczych uzyskuje się solankę. Natomiast metodą górniczą wydobywa się sól w kopalni w Kłodawie, założonej w 1950 r., obecnie największej kopalni w Polsce.

Inna kopalnia kujawska, pracująca od 1869 r. w Wapnie, dawała najpiękniejszą sól. W sierpniu 1977 r. nastąpiła tam katastrofa – kopalnia została zalana, przestała istnieć...

Prywatne i służbowe życie soli

O tym, że sól kamienna jest chlorkiem sodowym, wiadomo dopiero od 1807 r. Nadała ona nazwę całej grupie związków chemicznych, składających się z kationu metalicznego i anionu reszty kwasowej: węglanów, siarczanów, siarczków itd.

Sól kamienna krystalizuje w układzie regularnym, jest bezbarwna, bardzo dobrze rozpuszczalna w wodzie, w stanie stopionym lub w roztworze wodnym przepuszcza prąd elektryczny, rozkładając się na sód i chlor. Działa silnie korodująco na wszystkie metale z wyjątkiem cyny i aluminium. Widać to wyraźnie po soleniu dróg w zimie – nie tylko usychają drzewa, lecz także korodują samochody.

Sól kamienna jest potrzebna człowiekowi do życia, bez niej choruje on też częściej na serce i ma inne dolegliwości. Sól jest używana w przemyśle spożywczym, paszowym, rybnym. Ale to tylko drobny ułamek bogatego, „służbowego" jej życia! Duże ilości soli zużywa chłodnictwo, garbarstwo, drogownictwo, przemysł ceramiczny do polew i emalii. Największe znaczenie ma jednak w przemyśle chemicznym, do wytwarzania sody, chloru, wodorotlenku sodowego, chlorynów i wielu innych związków. Bez nich nie byłoby szkła, włókien sztucznych, mydła, barwników, tkanin, papieru i mnóstwa innych wyrobów. Ale to już zupełnie inna historia.

KRZYSZTOF GUTORSKI
Fot. **Marek Szymański**

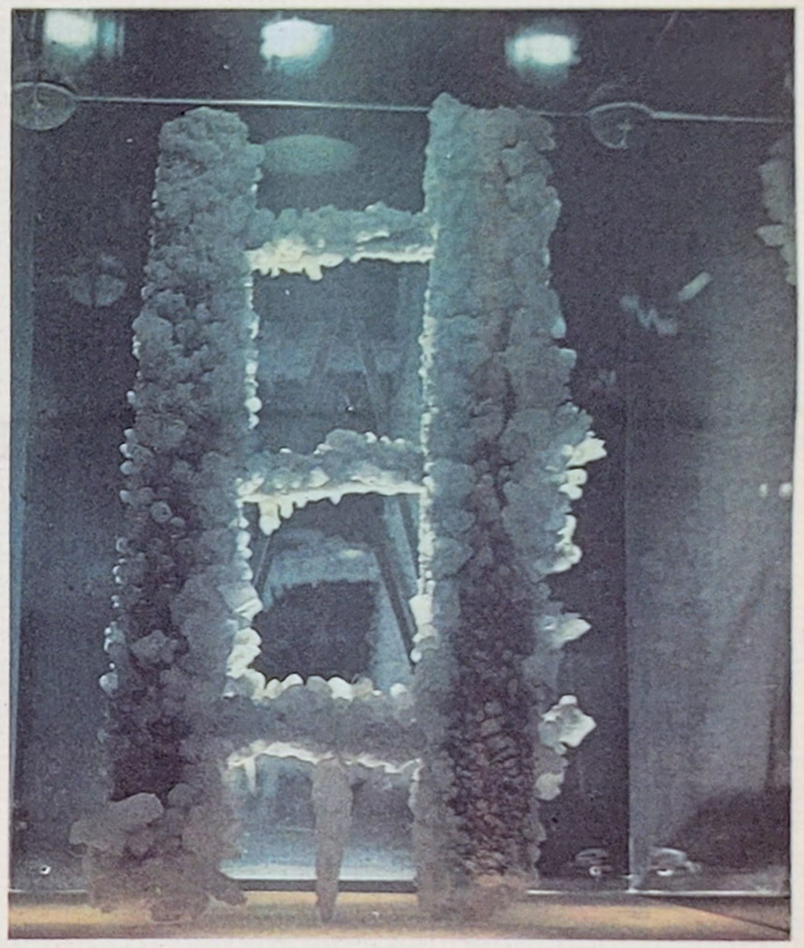

Sól wykrystalizowana na starej kopalnianej drabinie w Wieliczce

Zajączki z przedstawienia „Kot w butach" teatrzyku „Leśny skrzat" z Kamienej Góry
Fot. **Cezary Wiklik**

ZHP
III HARCERSKI PRZEGLĄD KULTURALNY CHORĄGWI
Jelenia Góra, kwiecień 1980

Złote, srebrne i brązowe „Rzepióry" trafiły do najlepszych!

„Rzepióry" to tradycyjne nagrody Harcerskiego Przeglądu Kulturalnego Jeleniogórskiej Chorągwi ZHP. W jej „Słonecznym Kręgu" już po raz trzeci spotkali się wszyscy, którzy lubią śpiewać, tańczyć, recytować, malować, fotografować i pisać wiersze – czyli ci, którzy pod mundurem kryją dusze artystów. Kwietniowe imprezy w Jeleniej Górze, Bolesławcu, Zgorzelcu, Lubaniu Śląskim, Kamiennej Górze i Lwówku Śląskim zgromadziły ich niemało! Walczyli o laury na przeglądach teatrzyków oraz piosenek zuchowych i harcerskich, w konkursach plastycznych, fotograficznym i recytatorskim poświęconym ich Ziemi Dolnośląskiej. Brali też udział w rajdzie „Tropami wiosny" i zuchowym „Włazozłazie" – jako że gór do „włażenia" w okolicy nie brak. Wystawy ich prac i hobbistycznych zbiorów podziwiały rodziny i przyjaciele, oni też klaskali na koncercie galowym w pięknym jeleniogórskim Teatrze im. C.K. Norwida, gdzie i my trafiliśmy, wracając z jednej jeszcze imprezy przeglądu: Ogólnopolskiego (tak, tak!) Turnieju Poetyckiego „Niebieska Tarka". O turnieju tym napiszemy wkrótce osobno, będziemy też drukować nagrodzone w nim wiersze. Pozostaje więc tylko wymienić jeszcze zdobywców „Złotych Rzepiórów" jeleniogórskiego przeglądu. Otrzymali je:

Śpiewające zespoły: „Jagódki" z Jeleniej Góry i Zespół HSPS przy ZPO w Bolesławcu; fotograf Feliks Kieć; recytatorzy: Jerzy Adamowski, Edyta Łukjaniec i Halina Kaziów; autorzy plakatów: Małgorzata Żółkiewska i Bogdan Grabiec; teatrzyk kukiełkowy przy Szkole Podstawowej nr 3 w Bolesławcu i teatrzyk drużyny im. Kosynierów przy Szkole Podstawowej nr 1 w Lubaniu. „Niebieską Tarkę" zdobyła Marzena Goźlińska.

(jug)

MUSIAŁEM DOJŚĆ TAM RAZ JESZCZE

Doszli do miasta od zachodu. Przebijali się w huku eksplozji, rozbłyskach wystrzałów, w dymie przez berlińskie ulice. Ale noc z 1 na 2 maja 45 roku należała do spokojniejszych. 8 bateria III dywizji czekała na rozkazy. Dla młodego podporucznika spokój był tylko pozorny. Koledzy spali, a on patrzył kilkadziesiąt metrów w górę, na szczyt berlińskiej kolumny zwycięstwa. Żeby tak polską flagę zawiesić – pomyślał. Pierwszy raz myśl przyszła i odeszła. Potem wróciła i została. Uporczywa, fascynująca. Wejść tam na szczyt kolumny – symbolu pruskiego zwycięstwa w wojnie z Francji w roku 1870 i zawiesić flagę. Biało-czerwoną. Pokazać, że polscy żołnierze doszli aż tutaj. Że także dzięki nim znika koszmar zżerający świat już od przeszło 5 lat. Chciał pokonać te osiemdziesiąt parę metrów także dla własnej satysfakcji, dla zaspokojenia ambicji żołnierza, który przewędrować musiał kawał świata przeżywając strach i upokorzenia.

TAK ZACZĘŁA SIĘ JEGO WOJNA

I właśnie w owej chwili, kiedy podporucznik Mikołaj Troicki szykował się do swej wyprawy z polską flagą za pazuchą, stanęło przed oczyma całe jego żołnierskie życie.

1 września 1939 roku. Był wówczas dowódcą baterii rozpoznawczo-meldunkowej i stojąc na dachu najwyższego domu patrzył na sunące po niebie samoloty niemieckie. Leciały nad Warszawą. Meldunek o nalocie nadany w chwilę potem przez Mikołaja Troickiego dotarł do stolicy. Po kilku dniach łączność z Warszawą została zerwana. Wraz z grupą swoich żołnierzy dołączył do oddziałów wycofujących się w kierunku Puszczy Kampinoskiej. Tam jednak znalazł się w sytuacji, kiedy pozostało już tylko jedno – zrzucić mundur. Po kilku dniach wędrówki po lesie wrócił do domu. Wiedział, że walka, otwarta walka, jest już niemożliwa. Trzeba było zacząć inne życie.

Kiosk spożywczy, który prowadził, przynosił jemu i rodzinie niewielki dochód pozwalający przeżyć. Ale przecież Troicki – żołnierz nie mógł na tym poprzestać. Kiosk stał się znakomitym punktem kontaktowym dla organizacji podziemnej działającej już na tym terenie. Zdobywał towar–śmietanę, jaja i ser – rozwożąc jednocześnie prasę podziemną, amunicję i broń. Od czasu do czasu niespokojny duch młodego Mikołaja podszeptywał mu myśl o przyłączeniu się do partyzantki.

„Tyle miałem zajęć – wspomina dziś Troicki – i jakoś decyzję pójścia do lasu odkładam z dnia na dzień". Aż przyszedł moment, kiedy los zmusił go do porzucenia domu. Na rynku miasteczka odbyła się pierwsza publiczna egzekucja. Ofiarą był 15-letni chłopak. Przeżywszy obezwładniające uczucie nienawiści i bezsiły Troicki zdecydował się. Był jednym z wykonawców wyroku podziemnej organizacji na landracie niemieckim. Potem pozostała już tylko ucieczka. Dotarł do Warszawy. W ukryciu czekał na człowieka, który miał pomóc w nawiązaniu kontaktu z partyzantami. Niestety nie doczekał się. Któregoś ranka na Pańskiej zaskoczyła go łapanka. Uratowała go przytomność umysłu. Podarł auswaiss, na którym wypisane było jego prawdziwe nazwisko. W transporcie wywożonym na roboty do Niemiec był już Janem Nowakiem, górnikiem z zawodu. Po kilku dniach głodu i strasznej jazdy znalazł się...

... W BERLINIE PO RAZ PIERWSZY

Był wtedy, w tym mieście, niespełna trzy tygodnie.

„Pracowałem w meblarskiej firmie Federa. Kiedy pierwszego dnia przechodziłem przez ogromne hale, w których zgromadzono meble zrabowane w całej niemal Europie, znów poczułem tę ogarniającą mnie całego nienawiść i bezsiłę. O, jak bardzo chciałem znaleźć się w tym samym miejscu w zupełnie innej roli". Przecież był żołnierzem. Ale wiedział też, że na razie całą swą energię skierować musi na to, by przeżyć. By przetrzymać. Po krótkim etapie berlińskim całą grupę wywieziono do Jugosławii. Praca w wielkiej kopalni odkrywkowej, życie w nędznych barakach dały się Mikołajowi mocno we znaki. Teraz przyszedł czas na ucieczkę. Tylko jak wyrwać się... Któregoś dnia stanął przy grupie Polaków ładujących wielkie skrzynie na ciężarówkę. Jeden z nich okazał się być ziomkiem znad Bzury. Mikołaj chciał tylko nawiązać kontakt, przygotować się do ewentualnej ucieczki. I nagle zamiast kolejnej skrzyni w ciężarówce wylądował Troicki. I tak niespodziewanie znalazł się poza bramą. Jeszcze nie był wolny. Ale grupa, do której dołączył nie była pilnowana tak bardzo jak ta, w kopalni.

„Chodziliśmy do pobliskiej wsi, gdzie bardzo serdecznie przyjmowali nas mieszkańcy. Za trzecim razem odważyłem się spytać jednego z gospodarzy o kontakt z partyzantami. Ryzykowałem, ale myśl o ucieczce była tak uporczywa, że nie miałem innego wyjścia. Na samotną ucieczkę nie mogłem się zdecydować, bo szanse w górach, w nieznanym terenie, były właściwie żadne". Jakże wielkie było zdumienie Troickiego, kiedy następnym razem u znajomego gospodarza zjawił się brodaty pastuch, którego tyle razy pozdrawiał mijając go we wsi. „Weźcie możliwie najwięcej rzeczy – polecił – i bądźcie tu jutro wieczorem." To było 9 września 1942 roku. Mgła, oczekiwanie w stogu siana, długa wędrówka. Aż wreszcie przeszli na teren opanowany przez partyzantów. Kulmatura – tak nazywała się wioska, do której na wezwanie Troickiego, w rozrzuconych po okolicy ulotkach, zgłosiło się ponad 170 Polaków.

„Pamiętam dobrze tę wioskę i dlatego, że po długim czasie tam właśnie, głodni i wymęczeni, wdychaliśmy zapach wolności, tam zaczęło się dla nas znów normalne żołnierskie życie".

Były ćwiczenia i niecierpliwe oczekiwanie na dalsze rozkazy. Troicki wspomina swój zachwyt pięknem gór, serdecznością napotykanych ludzi. To osładzało czas pobytu w kraju, z którego tak daleko było do domu. Potem nadszedł okres działania w międzynarodowej brygadzie dywersyjnej. I wreszcie pierwsza wspaniała wiadomość o stalingradzkim zwycięstwie.

„Dla nas to wydarzenie było tym samym co dla umierającego – eliksir życia. Wierzyłem, że wiecznie wojna trwać nie może, że kiedyś musi się skończyć. Ale od tego dnia byłem pewny, że skończyć się musi niedługo". Był wreszcie szturm na Belgrad i spotkanie z oddziałem Armii Radzieckiej. Tam właśnie pierwszy raz, po miesiącach jedzenia kukurydzianego kitu, poczuł smak chleba. Prawdziwego chleba. Troicki podszedł do młodego żołnierza i zaczął z nim rozmowę, nie podejrzewając, że stanie się ona kolejnym zwrotem w jego wędrówce. „Jesteś Polakiem, a przecież już macie swoją armię" – powiedział Rosjanin. Troicki podjął kolejną decyzję. To nic, że do Lublina daleko, ale musi przecież zrealizować swoje marzenia. Marzenie o walce w polskim wojsku. Pożegnał się więc ze swoimi jugosłowiańskimi przyjaciółmi i ruszył znów w wędrówkę. Przeżywając straszny nalot niemiecki w Ploesti cudem dotarł do Bukaresztu. Potem Budapeszt i jeszcze wiele dni w mozolnej wędrówce, aż wreszcie znalazł się w Lublinie.

„Mundur dali, ale na wykład kazali chodzić. A gdzie mnie było słuchać o patriotyźmie, o historii, kiedy bić się dalej trzeba było. Moja wędrówka skończyć musiała się tam, na froncie." Brał więc udział Troicki w forsowaniu Odry i w bitwie na ulicach Berlina.

Kiedy był tu pierwszy raz, marzył o tym, by wrócić jako zwycięzca. By móc sobie powiedzieć: wypełniłem obowiązek do końca. Kiedy więc wraz z trzema kolegami pięli się na sam szczyt kolumny i wieszali sztandar, czuł, że jest to jego prawo, jego radość. W tamtym momencie Mikołaj Troicki nie myślał, że koniec jego długiej, żołnierskiej wędrówki zapisze się trwale na kartach historii.

MILENA HAYKOWSKA
Fot. **CAF**

Dwa razy w roku obchodzimy ważne rocznice związane z drugą wojną światową. Pierwsza, to rocznica zdradzieckiej napaści na Polskę, dokonanej we wrześniu 1939 roku przez hitlerowskie Niemcy, druga – zakończenia wojny w maju 1945 roku. Właśnie w tegorocznym maju obchodzimy trzydziestą piątą rocznicę zakończenia II wojny światowej.

O czynach polskiego żołnierza, który pierwszy zbrojnie przeciwstawił się hitlerowskim planom podboju Europy, a potem może i całego świata, i który walczył z nim najdłużej, wiemy prawie już wszystko. Mniej, a w niektórych przypadkach zupełnie nieznany jest udział w tej zwycięskiej wojnie polskiego naukowca i inżyniera, czyli – polskiej myśli naukowo-technicznej.

Polscy naukowcy i technicy ze zrozumiałych względów pracowali wtedy „w cieniu" – ich praca otoczona była często ścisłą tajemnicą wojskową – ale w tej chwili zupełnie już niepotrzebnie w tym cieniu pozostają.

Zapomniani przez publicystów i... historyków, a nierzadko także przez tych, którzy w imieniu naszego narodu winni im wdzięczność za ich czyny okazać. Podobnie jak okazano to polskiemu żołnierzowi... Ale niestety, na piersiach wielu z nich nie wiszą żadne odznaczenia.

A przecież to właśnie oni oddawali w ręce żołnierza polskiego – i nie tylko polskiego, bo przecież również i alianckiego – doskonały, czasem nawet rewelacyjny sprzęt wojenny. Niestety, z niektórych osiągnięć polskiej myśli naukowo-technicznej zdobytych w Polsce po klęsce 1939 roku, skorzysał także i wróg. Ale to także jest świadectwem jakości tych osiągnięć...

Przez wiele długich lat większość osiągnięć polskiej wojskowej nauki i techniki była nieznana; niektóre z nich są już odgrzebywane z archiwów i wyciągane z pamięci, inne wymagają jeszcze historycznego odkrycia.

W kilku artykułach przedstawiamy kilka przykładów świadczących o bardzo wysokim poziomie polskiej ówczesnej myśli naukowo-technicznej, także wojskowej. Dziś – wynalazek kapitana Gundlacha.

MAŁY, PROSTY A WAŻNY JAK RADAR

Mały bezwieżowy czołg, zwany tankietką, jaki na początku lat trzydziestych zaczęto wprowadzać do polskiego wojska, miał istotną wadę. Brak było możliwości obserwowania z jego wnętrza tego, co się dzieje z tyłu. A ponieważ tankietki miały działać grupowo, na skutek braku utrzymania kontaktu wzrokowego między pojazdami istniało niebezpieczeństwo zbytniego zapędzenia się którejś z nich zanadto do przodu, przez co mogła stać się łatwym celem dla przeciwnika.

Ponieważ przewidywano znaczną produkcję tankietek (ogółem w dwóch wersjach TK i TKS wyprodukowano ich potem około 600 sztuk), postanowiono usunąć tę wadę. Kierownik biura konstrukcyjnego broni pancernej Wojskowego Instytutu Badań Inżynieryjnych, kpt. Rudolf Gundlach, wpadł wówczas na pomysł ulepszenia znanego już peryskopu, który w tym czasie zaczęto stosować i w czołgach. Dzięki pomysłowej nakładce na peryskop – zaopatrzonej w dwa lusterka odwracające kierunek widzenia – w razie potrzeby opuszczonej w dół, obserwator nie musiał obracać się do tyłu, gdyż w małej i ciasnej tankietce na to właśnie miejsca nie było. Peryskop odwracalny – bo tak został nazwany – okazał się niezwykle przydatny nie tylko w tankietkach. Jeszcze nieśmiało, ale zaczęto go montować również w polskich czołgach. I nie tylko polskich...

Jeszcze przed wojną licencję na ten obserwacyjny przyrząd zakupiła angielska firma Vickers – znana z produkcji wszelakiego sprzętu wojskowego i taki sprzęt dostarczająca także Polsce – i zaczęła go stosować w czołgach przez siebie produkowanych. Początkowo przyrząd ten nie wzbudził większego zainteresowania u angielskich pancerniaków. Dopiero wojna wykazała jego znaczną przydatność, przyczyniając się do masowego upowszechnienia, a tym samym zdecydowała o światowej karierze polskiego wynalazku.

Najpierw masowo zaczęli go stosować w swoich czołgach Brytyjczycy.

Początkowo miał go do dyspozycji tylko dowódca czołgów, który odtąd, aby obserwować co się z tyłu dzieje, nie musiał obracać całą wieżą; potem dano go do dyspozycji każdemu członkowi załogi czołgu. **Czołgi dla wojsk brytyjskich produkowane w Stanach Zjednoczonych były także wyposażone w polskie peryskopy odwracalne,** gdyż tego sobie życzył odbiorca. Ale i Amerykanie się do niego przekonali, więc **i czołgi dla amerykańskiej armii były w ten przyrząd wyposażone.** W ramach umowy o pomocy walczącym sojusznikom amerykańskie i brytyjskie czołgi dostarczano do Związku Radzieckiego, ponoszącego w tym czasie główny ciężar walki z hitlerowską Rzeszą. **Radziecki pancerniak też docenił przydatność tego przyrządu i zastosował go we wszystkich radzieckich czołgach odtąd produkowanych w ZSRR – w tym i w słynnych T-34.** Polscy pancerniacy – z armii polskiej na Zachodzie i Ludowego Wojska Polskiego utworzonego w ZSRR – używający alianckich wozów bojowych zetknęli się z tym przyrządem... nie wiedząc nawet o tym, że jest to polski wynalazek! Ale o tym nie wiedzieli także i inni, a i do dziś wie niewielu...

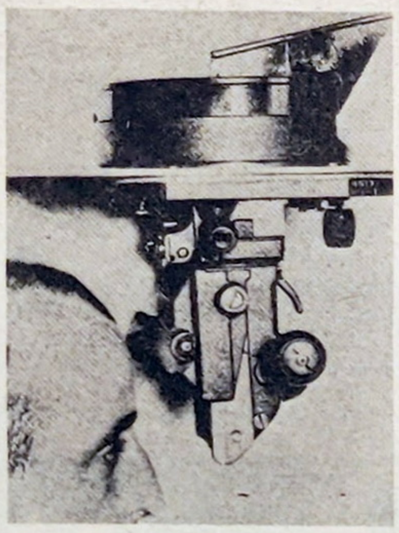

Peryskop odwracalny w swojej prototypowej postaci – przy nim przypuszczalnie jego wynalazca. R. Gundlach był także twórcą innego wynalazku: w latach wojny, w czasie pobytu we Francji – system luster, które modelkom i klientkom jednego z paryskich domów mody umożliwiały oglądanie przymierzanego ubioru bez potrzeby obracania się

Ilustracja wzięta z radzieckiej publikacji, pokazująca zasadę użycia peryskopu odwracalnego: a. obserwacja w przód, nakładka odwracająca podniesiona, b. obserwacja do tyłu, nakłada – opuszczona w dół

W brytyjskich czołgach wynalazek Gundlacha nosił początkowo nazwę: Vickers tank periscope (czołgowy peryskop Vickersa), a w amerykańskich: Periscope M-1 (peryskop model 1; były też i dalsze modele), w radzieckich: pieriskop dwuchstronnego nabljudennija (peryskop dwustronnej obserwacji), w wyprodukowanym w Polsce opancerzonym transporterze piechoty typu SKOT nosi nazwę: peryskop odwracalny MK-4.

Peryskop odwracalny Gundlacha znalazł się więc na wyposażeniu kilkuset tysięcy czołgów, jakie alianci – Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i ZSRR – wyprodukowali w latach II wojny światowej; samego przyrządu musiano wtedy wyprodukować ponad milion sztuk. Produkowano go także po wojnie. Ile w sumie? – jest to dziś, niestety, trudne do ustalenia.

Jego twórca, R. Gundlach, całą wojnę spędził we Francji. O niezwykłej karierze swojego wynalazku dowiedział się... po wojnie!

Wybitny naukowiec polskiego pochodzenia, dziś światowej sławy (twórca teorii poruszania się pojazdów terenowych oraz współtwórca pojazdu księżycowego, użytego przez amerykańskie wyprawy księżycowe), w okresie międzywojennym podwładny R. Gundlacha, a później jego serdeczny przyjaciel – prof. dr inż. Mieczysław Bekker – tak o tym pisze: *„W moim przekonaniu peryskop Gundlacha był jednym z najdonioślejszych ulepszeń w broni pancernej w okresie drugiej wojny. Kiedy znalazłem się w 1942 r. w kanadyjskim Ministerstwie Zaopatrzenia, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem „na tapecie" był peryskop Vickersa (!). Musiałem dobrze się napracować, by wytłumaczyć, że byłem przy jego narodzinach w Warszawie i, że Gundlach był moim szefem i jednym z najlepszych przyjaciół. Amerykanie, moim zdaniem, dość niezdarnie w tym czasie ominęli patenty Gundlacha tak, że kiedy się wojna skończyła, Gundlach chciał wystąpić do sądu. Jedynie tylko długie i kosztowne procedury amerykańskiego sądownictwa powstrzymywały go od tego. Za to specjalna Królewska Komisja przyznała mu po wojnie wynagrodzenie licencyjne, które go postawiło w grupie innych wybitnych wynalazców tego okresu, jak radar, odrzutowce itp."*

Na zakończenie warto dodać, iż wspomniane przez prof. Bekkera wynagrodzenie licencyjne wyniosło 80 000 angielskich funtów (około 200 000 dolarów). Wyższe wynagrodzenie licencyjne od rządu brytyjskiego otrzymał tylko wynalazca... radaru!

LESZEK KOMUDA
Fot. **ze zbiorów autora**

To wszystko wydarzyło się naprawdę. I jak napisał autor „...wspomnienia te oparte zostały na podstawie opowiadań mojego dziadka, który spędził prawie pięć lat w oflagu, w okolicach Hamburga."

REPORTER Świata Młodych

ICH PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI

Złamany goździk

Nazywam się Jan. Komuś może się wydać śmieszne, nie pamiętać swojego nazwiska. Pamiętam numer: 00378. Ten numer wytatuowany na prawej ręce i słowa „Jawohl, Herr Lagerkomendant", które głęboko wbiły się w moją pamięć – to jedyna i najstraszniejsza pamiątka z „mojej" wojny.

„Mojej", bo była to wojna bardzo krótka, najkrótsza, jaką znała historia. Trwała tylko jeden dzień. „Moja" wojna trwała jeden dzień, lecz dla innych było to pięć długich lat. Jeden dzień, dwa oddane strzały, a potem pięć lat wiecznego bicia kolbą karabinu w plecy i ciągłego poganiania. Słowo „schnell" nie schodziło z ust hitlerowskich strażników przez pięć lat. Ktoś powie: „Pięć lat – to niedługo. Mogłeś uciec, zbuntować się." Rzeczywiście, znałem tych, co uciekli. Ucieczka z oflagu – dla mnie było to wielkie słowo, ale ucieczka zwykle kończyła się na stale powiększającej się, stale przesypywanej wapnem stercie trupów. To mnie odstraszało. Strach paraliżował mnie i moich towarzyszy niedoli. Strach, ale jakiś inny towarzyszył mi również, gdy stawiałem pierwszy krok za otwartą bramę, gdy robiłem pierwszy krok w stronę wielkiego dla mnie pojęcia: Wolność.

Właśnie o tym chciałbym opowiedzieć. Będzie to opowieść o najpiękniejszej przygodzie drugiej wojny światowej, opowieść o wolności i o ludziach, którzy zachłysnęli się nią nagle.

Zaczęło się to... drugiego dnia wojny.

W dużej, zakrytej ciężarówce jechało nas dziesięciu. Dziesięciu prosto z linii frontu. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Jechaliśmy już dobre cztery godziny. Droga upływała w milczeniu. Skręciliśmy w jakąś polną drogę. Ciężarówka ciężko podskakiwała na wybojach. Nagle zgrzyt hamulców. Kierowca mówi do kogoś po niemiecku. Skrzyp szlabanu. Jedziemy dalej. Znowu stajemy.

Klapa ciężarówki opada z piskiem nienaoliwionych zawiasów. Odsłaniają plandekę. Blask wrześniowego słońca oślepia mnie. Każą wychodzić. Ponaglani, zeskakujemy na ziemię. Każą ustawić się dwójkami. Maszerujemy na plac apelowy. Nikt już nie ma wątpliwości co do miejsca naszego pobytu. Jesteśmy w oflagu.

Pan, który stał na środku placu, przedstawił się. Powiedział, że jest komendantem tego „obozu dla niegrzecznych oficerów" – jak to określił. W kilku następnych słowach zaznaczył, że obowiązuje nas dyscyplina i posługiwanie się językiem niemieckim. Zaprowadzono nas „na pokoje". Baraki były niskie, brudne. Na każdej pryczy leżał jeden koc. Wyższym oficerom przysługiwała ponadto szafka. W naszym baraku spało nas siedemnastu. Po krótkiej rozmowie już znaliśmy się. Nie zdążyliśmy odpocząć, gdy wygoniono nas po „kolację". Każdy z nas dostał po kromce chleba, łyżce marmolady i po kubku kawy. Z „kolacją" w ręku podszedłem do porucznika lotnictwa. Był ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Po przywitaniu zaczęliśmy rozmowę.

– Kiedy pan się tu dostał? – zapytałem (mówiłem „pan", ponieważ był w takim samym stopniu co ja).

– Wczoraj. Nasze lotnisko bombardowali i gdy mój klucz startował – dostałem.

Dopiero teraz zauważyłem, że ma obandażowane ramię. Odszedł. W czasie tych pięciu lat nie spotkałem go więcej. Mówiono mi, że zmarł na gangrenę. Zresztą, co trzeci z naszego oflagu nie przeżył. Nie wytrzymali psychicznie i nerwowo. Rzucali się na druty, wieszali.

Tak było do tego ostatniego dnia. Niedalekie wybuchy, całe kanonady, świadczyły o zbliżającym się froncie. Nie spodziewałem się, że to nastąpi tak prędko.

Od samego rana wśród załogi obozu panowało podniecenie. „Pocztą pantoflową" doszła mnie wiadomość, że komendant uciekł. To była prawda. Po śniadaniu, zamiast jak zwykle pędzić na apel, kazano nam iść do baraków. Wszyscy hitlerowscy żołnierze zapakowali się na ciężarówki i wyjechali. Otwarta brama, porzucona broń i my w środku.

Wreszcie byliśmy wolni! Mogliśmy robić, co chcemy, mówić bez obaw po polsku, mogliśmy iść w dowolnym kierunku. Baliśmy się. Wiedziałem, że jestem inny niż normalny człowiek. Czas wywarł swoje piętno. Bałem się, że nagle wolny mogłem zrobić coś nieobliczalnego. Postawiłem pierwszy krok za bramę i przekonałem się, że tak nie jest. Idąc drogami, polami doszedłem do jakiegoś miasta. Było całkowicie wyludnione, nikt nie witał nas kwiatami. Jakaś kobieta, widząc polski mundur, dała mi goździk. Kwiat miał złamaną łodygę. Był to kwiat od Polski. To witała mnie Polska, upragniona i oczekiwana.

Od tych wydarzeń minęło już wiele lat. Żyję w świecie, który nie zna pojęcia wojna. Po „mojej" wojnie pozostał mi tylko numer 00378 i słowa wryte głęboko w pamięć: „Jawohl, Herr Lagerkomendant".

WITOLD TOMKIEWICZ
Świdnica

PRZEŻYLI, CHOĆ PRZEŻYĆ NIE MIELI

Mam przed sobą dwa stare zdjęcia, bardzo zresztą do siebie podobne. Oglądałem je już raz, przed ponad dziesięciu laty. Wtedy nie przemówiły do mnie, nie zrozumiałem. Patrzyłem na nie jak na zwyczajne pamiątkowe fotografie grupy harcerzy, wykonane w tym samym mieście i nawet w miejscach niezbyt od siebie odległych, tyle że w różnym czasie. Uznałem wtedy, że może przedstawiają one wartość, ale jedynie dla tych, których utrwalił na swym filmie nieznany fotograf-amator. Odłożyłem je na bok, wybrałem jakieś inne i one posłużyły mi do zilustrowania reportażu. Reportażu o zwykłych młodych ludziach w harcerskich mundurach, którzy postawieni w sytuacji ostatecznej – życia lub śmierci, jakby tego nie dostrzegali i bez wielkich słów podjęli decyzję walki do końca, niepoddawania się. Bo uznali, że jest to po prostu ich obowiązkiem. Był to reportaż o harcerzach 7 drużyny, powstałej w 1935 roku przy węźle kolejowym w Lesznie. I o szczepie im. majora Hubala, który powstał z tej właśnie drużyny. O szczepie bardzo cenionym za swe osiągnięcia organizacyjne i wychowawcze.

Napisałem, lata szły, zapomniałem... Aż pewnego dnia, przed kilkoma tygodniami, coś mi się w pamięci odblokowało i nagle zapragnąłem dowiedzieć się czegoś o dawnych bohaterach mojego reportażu. Sięgnąłem do telefonu i zadzwoniłem do Komendy Chorągwi w Lesznie z pytaniem, czy taki szczep jeszcze istnieje A jakże – odpowiedziano mi – oczywiście istnieje... i bardzo dobrze pracuje. A nawet jego sztandar został niedawno udekorowany Medalem za Zasługi dla Bieszczad, za wyróżniające go osiągnięcia w akcji „Bieszczady-40". Czy dalej działa przy węźle kolejowym? Tak, ale teraz nazywa się to Dyrekcja Rejonowa PKP. I dalej harcerze tego szczepu to dzieci kolejarzy, a przede wszystkim uczniowie zasadniczych i średnich szkół kolejowych. Nic się więc nie zmieniło, nawet komendant szczepu. Jest nim dalej dh Tadeusz Berus, tyle że już na kolejowej emeryturze, ale nie dał sobie zwolnienia z harcerstwa.

Po kilku dniach Tadeusz Berus przyjeżdża do Warszawy i spotykamy się po raz drugi. I znów rozmawiamy, oglądam stare, przedwojenne kroniki „siódemki" i te trochę młodsze z pierwszych lat po wojnie. I nagle dostrzegam dwa zdjęcia, które wtedy nie zwróciły mej uwagi. Przecież z nich patrzą na mnie te same oczy, tych samych ludzi! To prawda, że ubyło sporo z grupy tych wyprężonych przy sztandarze, który właśnie otrzymali w 1938 r., że na drugim zdjęciu z pochodu pierwszomajowego w 1946 r. przybyło trochę nowych twarzy, ale są wśród nich i ci sami, którzy przeżyli, choć przeżyć nie mieli. Między tymi dwoma zdjęciami jest bowiem najtragiczniejsza i najbardziej bohaterska część życiorysu każdego z nich – wojna. W tym właśnie miejscu trzeba by umieścić zdjęcie trzecie, fotokopię pewnego dokumentu...

Zdjęcia mówią, ale tylko tym, którzy wiedzą kogo i co one przedstawiają. A więc niech przemówią.

Organizatorem drużyny i pierwszym jej drużynowym był Ludwik Czarnecki. Data rozpoczęcia historii 7 drużyny – kolejarskiej – 15.VI.1935 r. Do drużyny należeli chłopcy, synowie kolejarzy węzła w Lesznie, w wieku od 14 do 19 lat. Była to drużyna wybitna; w 1938 roku w Lesznie na rynku drużynowy, wtedy już Otto Roszak, przyjmował sztandar zdobyty w chorągwianym współzawodnictwie drużyn. Czuło się już zbliżanie wojny. W Lesznie, a szczególnie w okolicznych wsiach mieszkało wielu niemieckich kolonistów. Pewnego razu w czasie nocnej wycieczki, jeden z zastępów wypatrzył miejsce konspiracyjnych zebrań Niemców. Było to w cegielni (własność Niemca) w okolicach Trzebuni – 8 km od Leszna. Później podpatrzyli ich ćwiczenia z bronią oraz miejsce, gdzie tę broń ukrywają. W tej akcji brał udział m.in. Tadeusz Berus. Zameldowali o wszystkim policji, ale tam zbyto ich niczym. Na kilka dni przed 1 września 1939 roku, zostali skoszarowani w harcówce i pełnili służbę wartowniczą na mieście. Wojna. 2 czy 3 września wykryli niemieckiego szpiega, który miał punkt obserwacyjny na wieży kościoła św. Jana. Później – ze sztandarem drużyny – wyruszyli na Warszawę uciekając przed Niemcami. Wtedy już pięciu ich starszych kolegów walczyło w szeregach wojska. Dwaj z nich zginęli w bitwie nad Bzurą. W połowie października, po kilkutygodniowej tułaczce, byli z powrotem w Lesznie.

W Lesznie, gdzie wszyscy ich znali. A więc i Niemcy, ci sami, których tajne miejsce spotkań wykryli i zameldowali o tym policji. Byli i policjanci, którzy wtedy nie chcieli Niemcom szkodzić, a teraz...? Byli też ich niby koledzy, może z jednej szkoły, ci sami, którzy z bronią w ręku ćwiczyli koło cegielni. To miasto było dla nich najniebezpieczniejsze ze wszystkich polskich miast, które znalazły się w niemieckich rękach. Oni wrócili do niego, bo było to ich miasto. Nie tylko wrócili... W początkach października 1939 r. Otto Roszak zaproponował, aby wznowić pracę drużyny. 6 czy 7 października spotkali się w mieszkaniu ostatniego drużynowego – Władysława Głogińskiego. Wtedy właśnie złożyli przysięgę. Pierwszym zadaniem, jakie wykonali, było wydobycie z harcówki ewidencji drużyny. Zrobiono to w ostatniej chwili, bo już kilka dni później wezwała Głogińskiego niemiecka policja i musiał ich zaprowadzić do harcówki, gdzie dokonano rewizji. Prowadzili też normalne szkolenie typu wojskowego. Były zajęcia z terenoznawstwa, znajomości broni itp. Instruktorami byli starsi koledzy, mający za sobą służbę wojskową. Drużyna rosła, średnio było ich zawsze około 30, ale był okres kiedy liczba ta sięgała 50.

W Lesznie – wcielonym do III Rzeszy – było coraz trudniej żyć; masowe wywózki do Niemiec na roboty, wysiedlania całych rodzin do Generalnej Guberni, narastające szykany i prześladowania Polaków. Postanowili uciekać. W planach były Węgry... Niestety, doszły ich wieści, że granice są silnie obsadzone i nie ma już mowy o przejściu. Wtedy powstał nowy pomysł – jeden z drużyn nazwiskiem Lewandowski (uczestniczył w pierwszej konspiracyjnej zbiórce drużyny) zniknął z Leszna, a po jakimś czasie dowiedzieli się przez łącznika, że walczy w oddziale wydzielonym majora Hubala. Tym słynnym pierwszym polskim oddziale partyzanckim, a właściwie grupie żołnierzy, która po wrześniowej klęsce broni nie złożyła. Zdecydowali się grupami przedostawać do Hubalczyków. Pierwsi wyruszyli Otto Roszak i Tadeusz Berus, po nich Kotowicz i Jagodziński. Pierwsza dwójka po sforsowaniu granicy z Generalną Gubernią dostała się do Tomaszowa, stamtąd zawiezieni przez łącznika saniami do lasu trafili akurat na Boże Narodzenie 1939 roku do oddziału majora Hubala. Było tam kilku żołnierzy z Leszna – znajomych, więc nie mieli kłopotów z przyjęciem. Niestety, wkrótce potem Roszak zachorował i musiał wrócić do domu. 23 marca 1940 roku w czasie starcia z Niemcami pod Gałkami, Tadeusz Berus zostaje ranny w nogę i wyniesiony przez kolegów na rękach. Jakiś czas przebywa w oddziale, ale rana jest zbyt poważna i na rozkaz majora Hubala umieszczono go w mieszkaniu państwa Ziętków w Tomaszowie. Tam dowiedział się, że zginął major Hubal, zamordowany przez Niemców. Ten, o którym mówili hitlerowcy, że ma 3 tysiące żołnierzy, a ich trzystu nie było.

Maj 1940 roku, Tadeusz Berus ciągle jeszcze nie wyleczony przebywa w Tomaszowie. Pewnego dnia widzi przy bramie Niemców, chce uciekać przez podwórko, ale oni i tam już są. Dom był okrążony. „Ktoś mnie wydał" – pomyślał. Zabrano go do więzienia, zaczęto bić i pytać o jednego z kolegów – Motyklasińskiego. Był on łącznikiem. Więc Berus zaczął podawać różne adresy, ale takie, gdzie na pewno kolegi nie było. Kiedy tak jeździli samochodem po mieście, gestapowcy i on między nimi, zobaczył idącego ulicą – Motyklasińskiego! Ten go też dostrzegł. Teraz Berus był już spokojny, że kolega uciekł Niemcom. W tomaszowskim gestapo stłukli go jeszcze na dowidzenia i przewieźli do Łodzi, a później do Leszna. Znów był w rodzinnym mieście... tylko, że za kratami.

(Dokończenie w następnym numerze)

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. z archiwum **T. Berusa,**

reprod. **M. Szymański**

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

JAGUAR X J6

JAGUAR XJ 6 jest przedstawicielem słynnej angielskiej tradycji, która nie hołduje nowym formom, lecz lansuje opanowaną do perfekcji solidną szkołę w zakresie budowy i kształtowania nadwozi. W związku z tym nadwozie tego JAGUARA przypomina kształtem modele samochodów produkowanych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych naszego stulecia. Samochodu tego nie można jednak nazwać archaicznym, ponieważ perfekcja jego wykonania nadaje mu walory nowoczesnego pojazdu. Taki sposób łączenia tradycji z nowoczesnością udaje się chyba tylko Anglikom – robią to jeszcze bardziej doskonale w samochodach takich marek jak: DAIMLER i ROLLS-ROYCE.

Zgodnie też z tradycją JAGUAR XJ 6 posiada silnik umieszczony z przodu, a napęd od niego przekazywany jest na tylne koła. To przekazywanie napędu może się odbywać albo za pośrednictwem automatycznej skrzyni biegów typu Borg Wagner 65, lub też za pośrednictwem pięcioprzekładniowej, mechanicznej skrzyni biegów.

Benzynowy silnik samochodu jest sześciocylindrowy – cylindry umieszczone są w jednym rzędzie. Pojemność robocza silnika wynosi 4235 cm sześc., moc 151 kW (205 KM) przy 5000 obr./min. i sprężeniu 8,4. Zasilanie w paliwo odbywa się za pośrednictwem wtrysku, systemu Lucas-Bosch L-Jetronic, a zapłon jest elektroniczny – bezstykowy.

Budowa samochodu oparta jest na bezramowej konstrukcji, w związku z tym nadwozie jest typu samonośnego – czterodrzwiowe, przeznaczone do przewozu pięciu osób. We wnętrzu znajduje się komplet wyposażenia w postaci stereofonicznego radioodbiornika, magnetofonu, klimatyzacji, elektrycznie podnoszonych szyb, regulowanych foteli. Okna wykonano z barwionego i warstwowego szkła, tablicę rozdzielczą – z prawdziwego drewna. Zaopatrzono ją w bardzo bogaty zestaw wskaźników.

Wszystkie koła zawieszone są niezależnie i każde z nich wyposażone jest w hamulec tarczowy. Długość samochodu wynosi 4959 mm, szerokość 1770 mm, wysokość 1377, ciężar 1795 kg. Szybkość maksymalna – od 195 do 200 km/godz.

Adres wytwórni: **British Leyland Ltd. Jaguar-Rover-Triumph Ltd. Leyland Coventry House, Station Coventry CV 1 2FT – Wielka Brytania.**

ZENON DUTKIEWICZ

Skrzydlaci ostatni Mohikanie (5)

DROP

Z wyglądu trochę struś, ale i trochę indyk. To drugie podkreślam, by czytelnicy nie wyobrażali sobie, że chodzi tu o jakiegoś ptasiego olbrzyma. Drop imponuje nie tyle rozmiarami, ile ciężarem – należy do najcięższych latających ptaków. A lata dobrze. Podrywa się lekko, o ile tylko można wykorzystując wiatr; ustawia się doń w taki sposób, że podmuch jakby podrzuca go w górę i ułatwia start. Gdy już wzleci, bije skrzydłami powoli – ale pomyka wcale szybko...

Poza tym dropie, trzymające się zawsze w stadach, wiodą jakby leniwy tryb życia. Deszcze, burze i inne zawieruchy przeczekują, stojąc na gołym polu. Choć łatwo się niepokoją, trudno poznać to po nich. Nie wyciągają szyi, jak spłoszone dzikie gęsi – po prostu flegmatycznie odlatują.

Są typowymi mieszkańcami stepów. Ogrom przestrzeni wokół – to chyba podstawowy warunek ich bytu. Na otwartej przestrzeni żerują, pochłaniając pokarm roślinny i wszelki drobiazg zwierzęcy, żyjący na ich terenie. Tu nocują, zimują i odbywają gody, wyglądające nad wyraz efektownie. Samce, dużo większe od samic puszą się wtedy i zmieniają w osobliwe zjawiska optyczne. Sposób układania piór przez tokującego dropia składa się z wielu faz i trudno go tu opisać. W każdym razie *„...efekt jest zdumiewający, a widoczny z odległości do 3 km. Z daleka odnosimy wrażenie, jak gdyby nagle zakwitł krzew tarniny lub dawano sygnał białą chorągwią”*. Tak to widzi prof. Sokołowski, który, jako wielkopolanin, wiele razy obserwował dropie i dobrze poznał ich zwyczaje.

Bo też dziś żyją one u nas wyłącznie w Wielkopolsce, na jej rozległych terenach uprawnych. Samice wysiadują swe dwa jaja w gąszczu podrastającego zboża, grochu czy lucerny – bez żadnej zresztą pomocy i opieki ze strony samców, nie interesujących się gniazdem i młodymi. We wszystkich krajach Europy, gdzie drop się zachował – zasiedla tereny agrarne, bowiem jego pierwotne środowisko – żyzny step – od dawna tu wzięto pod uprawę.

Na polach czują się jednak dobrze, a przeszkadza im tylko obecność człowieka. Na jego widok uciekają już z półkilometrowej odległości. Bliżej dopuszczają tylko stale widywanych rolników. Boją się panicznie wszystkiego, co nowe i nieznane, a już zwłaszcza nowych sylwetek ludzi. Jak w ogóle w tej sytuacji podejść je na otwartym terenie, jak poznawać ich życie? Może tak, jak robił to czeski fotograf, Jaroslav Holeček, który wspomina: *„Zapyloną drogą toczy się powoli drabiniasty wóz naładowany kukurydzianą słomą, w której jak w koniu trojańskim siedzę ukryty ze swoją kamerą. Teleobiektyw celuje na rzadką i płochliwą zdobycz, jaką są dropie”*.

Bo, jak się okazuje, mniej boją się one wozów, samochodów czy traktorów, niż ludzi. Łatwiej je podjechać niż podejść. Tym większe mam uznanie dla młodego ornitologa z Poznania, Tadeusza Mizery, który na jednym ze studenckich zjazdów ornitologicznych pokazał nam wiele samodzielnie wykonanych przeźroczy. Sporo nieostrych, zamazanych, widać, że robionych na gorąco i z daleka, a jednak świetnie pokazujących sylwetki dropi w locie i na ziemi. Zdobycie tych zdjęć, robionych nie z wozu pełnego kukurydzy, ale podczas mnóstwa pieszych wycieczek, wymagało od autora wiele cierpliwości...

Bowiem dropi prawie nie sposób zobaczyć w terenie, tak są już rzadkie, a przy tym zajmują tylko pewne areały, inne, podobne pomijając. Nasze krajowe stado – czy raczej kilka stadek – liczy dziś co najwyżej kilkadziesiąt osobników. Podobnie nieliczny jest drop w innych krajach, w których jeszcze żyje. A co najgorsze – jego liczebność szybko spada. Dla przykładu: w latach czterdziestych było na Węgrzech ok. 8,5 tys. dropi – w 1969 r. już tylko 2,3 tys., w Austrii w tym samym czasie liczebność spadła z 1200 do 260. Dziś najwięcej zachowało się jeszcze w Azji, a w Europie, w Hiszpanii i na węgierskiej puszcie.

Zagłada tego gatunku postępuje od dawna. Rozpoczęła się przed wiekami od zaorywania stepu i polowań, redukujących zbyt silnie liczbę osobników. W Szwajcarii, Szwecji i Finlandii drop przestał się gnieździć już w XVI–XVII w., a w Anglii i Danii w ubiegłym stuleciu. Koniec końców na nic się zdały ostre przepisy ochronne, jakie w niektórych krajach wprowadzano dla dropia już niezmiernie dawno, bo nawet w XVI w. Ale ostateczny porachunek człowieka z tym ptakiem nastąpił w naszym stuleciu:

Mechanizacja rolnictwa sprawia, że ptaki tracą wiele lęgów, wykoszonych przez maszyny, zaś ich pisklęta zostają kalekami. Prawdopodobnie nie mniej szkodzi chemia rolna. Ale najgroźniejszy jest niepokój, który zakrada się do dropich ostoi wraz z intensywnym ich penetrowaniem przez człowieka. Dropie, nie mając spokoju, nie mogą się skutecznie rozmnażać. Jednocześnie są niewiarygodnie wprost przywiązane do zajmowanych terenów i jeżeli je z nich przepłoszyć – na nowych, nawet zupełnie podobnych nie potrafią się odnaleźć.

Te okoliczności nie tylko przyspieszają zagładę gatunku, ale i utrudniają wszelkie prace zmierzające do jej powstrzymania. Nie można np. przesiedlać ptaków z terenów przekształconych na bardziej odpowiednie, bo uporczywie starają się wrócić na te dawne. Trudno je dokarmiać i strzec ich, skoro tak boją się człowieka. Mimo to dziś większość ich europejskich ostoi, w tym wszystkie polskie, jest pod nadzorem strażników. Co nie przeszkadza temu, że wciąż zdarzają się kłusownicze odstrzały.

Bierna ochrona tego gatunku nie wystarcza. W wielu krajach podjęto więc zabiegi hodowlane. Bardzo zresztą trudne i niewdzięczne – bo też w warunkach innych niż naturalne wykazują się one rozpaczliwą wręcz niezaradnością i nieprzystosowaniem do jakichkolwiek nowych sytuacji. Jest to niestety, przyczyną ginięcia w hodowli młodych osobników, które często nie osiągają nawet dojrzałości.

Wspomnianym pracom patronuje specjalna Światowa Grupa Robocza d/s Ochrony Dropia przy Międzynarodowej Radzie Ochrony Ptaków. Zaś u nas zajmuje się nimi stacja badawcza Instytutu Zoologii Stosowanej AR w Poznaniu z siedzibą w Siemianowicach. Trzyma się tu w otoczeniu o charakterze naturalnego biotopu stadko ukryte w wolierze, poddawane obserwacjom i zabiegom hodowlanym. Jak pisze dyrektor Instytutu, prof. Ryszard Graczyk – wyniki stacji „napawają optymizmem”.

Wypada więc cieszyć się z tego, bo tylko takie działania są dziś szansą dropia. Stanowi on bowiem – w przeciwieństwie np. do wszędobylskiego wróbla, który świetnie sobie radzi i podbił już prawie cały świat – przykład gatunku, który bez naszej pomocy zupełnie nie potrafi przystosować się do życia w szybko zmienianym przez cywilizację krajobrazie.

TOMASZ KŁOSOWSKI

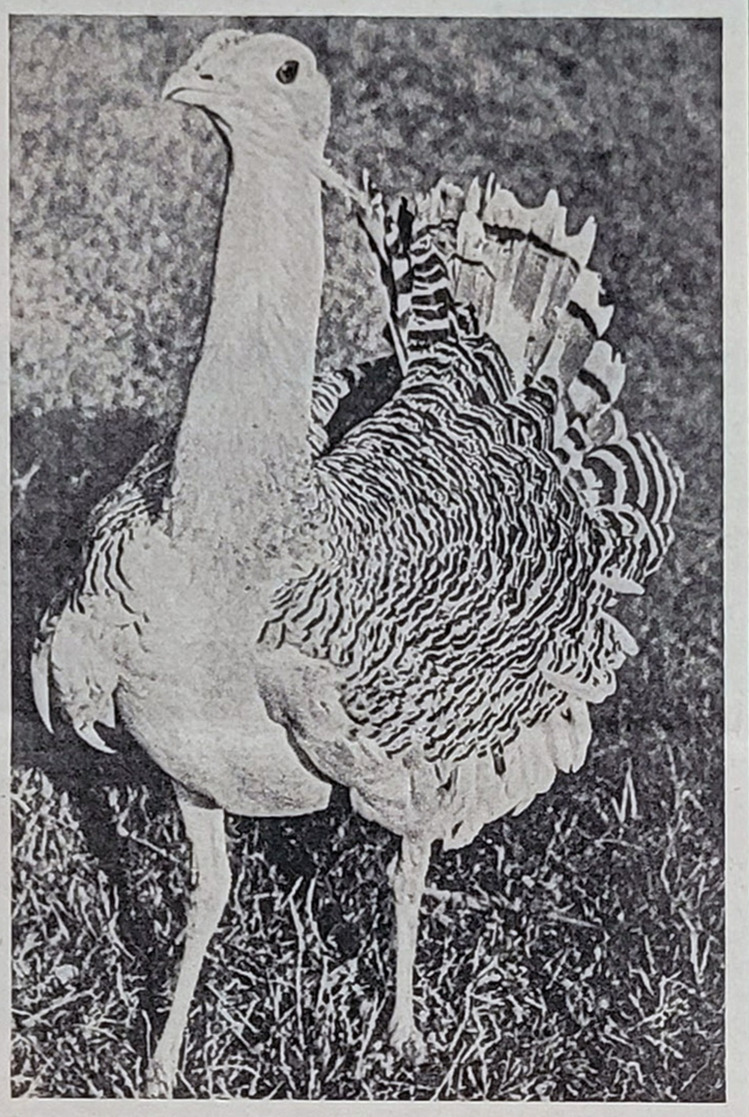

Drop, *Otis tarda*, samiec. Długość ciała samca 95–102 cm, rozpiętość skrzydeł 210–226 cm, waga 10–16 kg. Długość ciała samicy 79–85 cm, rozpiętość skrzydeł 168–173 cm, waga 5–6 kg. Niegdyś ptak łowny, dziś chroniony cały rok.

Fot. Jaroslav Holeček

Zielona żabka, „złamane serce” i niebieski tulipan, którego nie ma

Wokoło wiosna, a więc zieleń liści, barwne kielichy kwiatów, kolorowe ptaki. Nawet ziemia przestała być szara i brudna...

Skąd bierze się ta gama barw? Są to odbite od powierzchni przedmiotów fale światła o różnej długości. Im większa jest różnorodność tych fal, tym barwa jest bardziej złożona. Jeżeli odbijają się wszystkie fale, które pochodzą od Słońca, przedmiot będzie wydawał się biały. Taki jest śnieg, obłoki, płatki rumianków. A jeżeli oświetlona powierzchnia pochłonie prawie całe padające na nią światło? Sadza i pióra kruków mają takie właściwości i dlatego widzimy je jako czarne.

Są fale i o innych długościach. Nie odbiera ich nasze oko i dlatego bywają nazywane niewidzialnymi. Znane jest promieniowanie ultrafioletowe i podczerwone, czy promienie X (od nazwiska odkrywcy zwane też promieniami Roentgena). Z tym typem promieniowania (bo trudno nazywać ten zakres światłem) – nazwa jest zarezerwowana tylko dla części widzialnej widma elektromagnetycznego – spotykacie się stosunkowo często. Ma to miejsce przy prześwietleniach płuc, zatok, zębów, złamaniach rąk i nóg. Z wyłączeniem oczywiście „złamanych serc”. Sam mięsień sercowy jest jednak doskonale rozróżniany i zdjęcie rentgenowskie stanowi często podstawę diagnozy klinicznej.

Promienie Roentgena mają zastosowanie nie tylko w medycynie. Stosowane są m.in. w detekcji, a więc wykrywaniu przedmiotów wykonanych z materiałów nieprzepuszczających tego promieniowania. W ten sposób sprawdza się niekiedy na granicach bagaż podróżnych: Jedynym nieprzyjemnym tego skutkiem mogą być prześwietlone filmy, jeśli znajdowały się w walizce.

Dziś widzicie przykłady takich niemedycznych zastosowań tego promieniowania. Pierwsze ze zdjęć przedstawia żabę kumkającą wśród szuwarów. Widok jest ogólnie dostępny i może być zaobserwowany przy pomocy światłoczułych czopków siatkówki naszego oka na co dzień. Zdjęcie czarno-białe pokazuje tę samą żabę w pozbawionych kolorów promieniach X. Płaz wygląda już zupełnie inaczej; przede wszystkim zobaczyliśmy jego żywe wnętrze. Obok zdjęcia tulipana. I tu wyraźnie widać słupek i pręcik, mimo że kwiat jest jeszcze zamknięty; znajduje się w stadium pączka. W naturze, dopiero następnego ranka ukaże naszym oczom swoje wnętrze...

A ostatnia fotografia? To barwna wizja bezbarwnego świata oglądanego w promieniach rentgenowskich. Metoda ta jest często stosowana w fotografii naukowej. Kolory te nie przypominają już prawdziwych. Kto bowiem widział niebieskiego tulipana?

ADAM MOST

Fot. **M. Ostrowski**

we współpracy z Elżbietą Klaczyńską i Lechem Grzybowskim

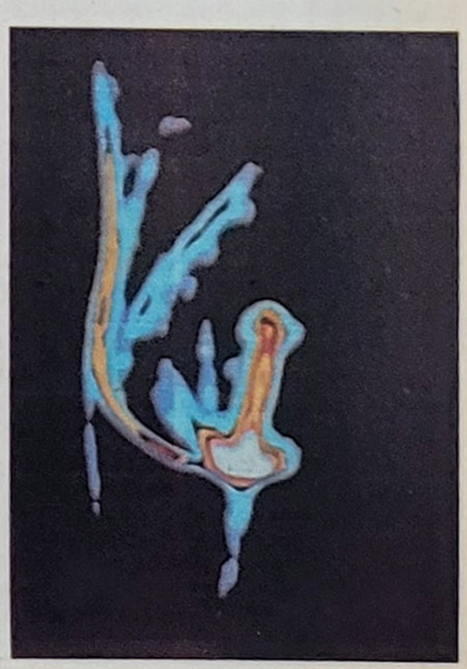

Na pewno znasz czasopismo „Nasz Świat". W tym tytule „świat" wypisano dużą literą. Nasza polonistka twierdzi, że „świat" powinien być napisany z małej litery. Kto ma rację, polonistka czy redakcja? Czy mogłabyś wyjaśnić mi pochodzenie imienia Paulina?

Paulina Szmielińska ze Słupska

Czasopisma nie znam, ale na pewno oba wyrazy z tytułu powinny być napisane dużą literą (zauważ – **dużą**, a nie „z dużej litery"). Tak właśnie piszemy tytuły czasopism, np. „Trybuna Ludu", „Życie Warszawy", „Horyzonty Techniki". Jedynie spójniki mogą być napisane małą literą, np. „Państwo i Prawo". Wyjątkiem od tej reguły są tytuły, których nie da się odmienić; w nich jedynie pierwszy wyraz piszemy dużą literą, zaś pozostałe – małą. Oto przykłady: „Na przełaj", „Mówią wieki", „Żyjmy dłużej". Widzisz, można powiedzieć: przeczytaliśmy w „Świecie Młodych", w „Życiu Warszawy", w „Poradniku Językowym" (odmieniając tytuł), ale nie można powiedzieć: przeczytałem w „Na przełaju", bo ten tytuł się nie odmienia, tak jak nie odmieniają się dwa pozostałe. Czytamy więc w „Żyjmy dłużej", „Mówią wieki", a nie: w „Mówią wiekach". **Paulina** jest żeńską formą pochodzącego z łaciny imienia Paweł. Łac. *Paulus* – znaczy: drobny, mały, niskiego wzrostu.

Jestem uczennicą 8 klasy. Mam pytanie, czy akcja utworu literackiego toczy się czy rozgrywa, gdyż nauczycielka j. pol. stale zwraca nam uwagę przy omawianiu lektur, że akcja się rozgrywa, a nie toczy. Czy lekturę można przerobić, czy się ją omawia?

Brygida K.

Nie mogę odpowiedzieć listownie, przepraszam. 1) Akcja może się rozgrywać albo toczyć. W Słowniku Poprawnej Polszczyzny przy haśle akcja podany jest taki przykład: „akcja powieści toczy się w wielkim mieście". 2) Powinno się **omawiać**, ale z przerabianiem w szkole nie pójdzie łatwo. Kiedy ja byłam uczennicą, też „przerabialiśmy", chociaż niektórzy nauczyciele bardzo protestowali.

Kropko! Prosto z mostu: 1) w cudzysłowiu czy w cudzysłowie? 2) wściec się czy wścieknąć się? 3) na dworze czy na dworzu? 4) te narcyzy czy te narcyze?

Stała czytelniczka

1) Piszemy **w cudzysłowie**, nie nadużywajmy **cudzysłowu**. 2) **Wściec się** to jedyna forma czasownika dokonanego od niedokonanego **wściekać się**. 3) **Na dworze**. 4) Nazwa tego kwiatu jest rodzaju męskiego, a więc **te narcyzy**.

Wasza KROPKA

Autorką mego wiosennego portretu jest Agnieszka Walczak.

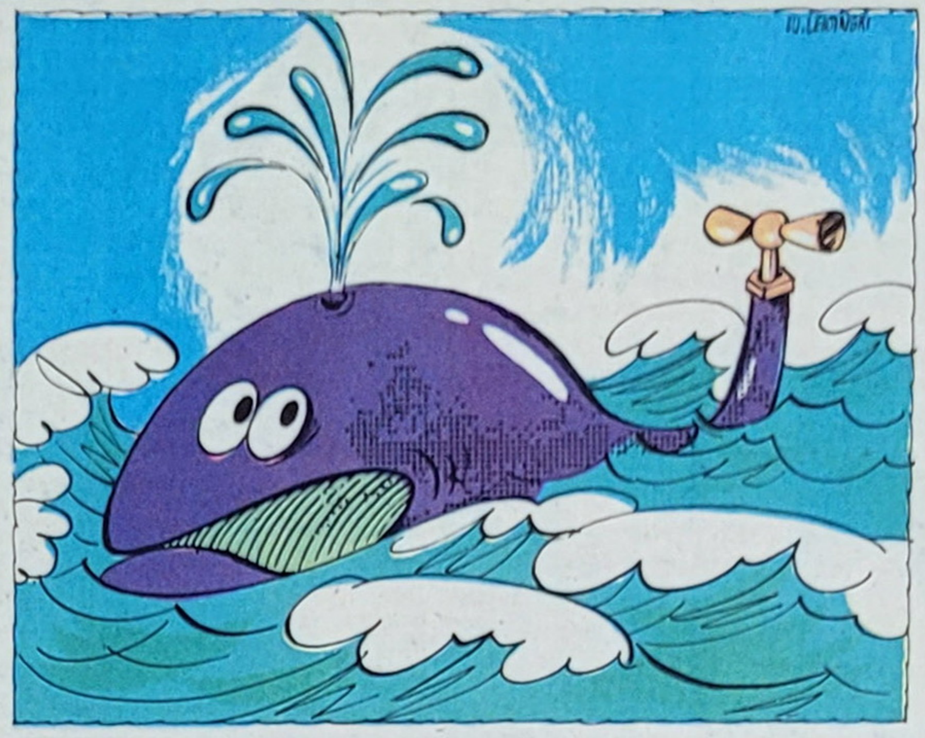

RZEPKLUB

Żarty rysunkowe, które zamieszczam obok nadesłała Gabriela Świtek, członek Rzepklubu.

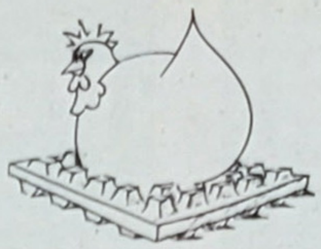

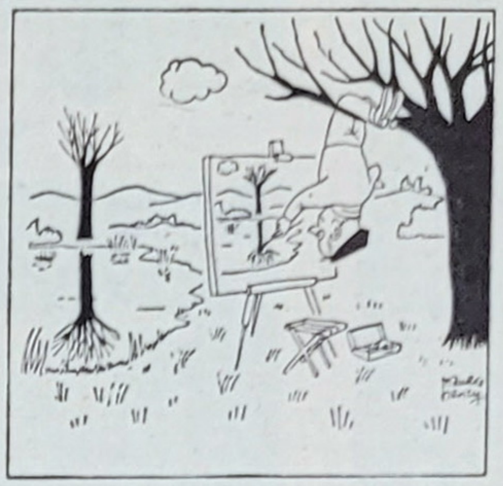

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Usiądźcie wygodnie i wyobraźcie sobie, że nasza Spółdzielnia Pracy Krasnoludków „Pracuś" otworzyła skonstruowane z mikroelementów ELEKTRONICZNE CENTRUM ZARZĄDZANIA ŚRODOWISKIEM CZŁOWIEKA! Bomba!!!

Dotychczas tymi sprawami tu i tam zajmowali się jacyś niezorganizowani amatorzy, którzy doprowadzili do tego, że np. tegoroczny transport śniegu w pewnych rejonach naszego kraju ugrzązł w zaspach, no i było go tam dwa razy tyle co trzeba, gdzie indziej transport ten wpadł w taki poślizg, że dojechał aż do początków maja!

Teraz zajmą się tym krasnoludki i zobaczycie, jak wszystko się zmieni.

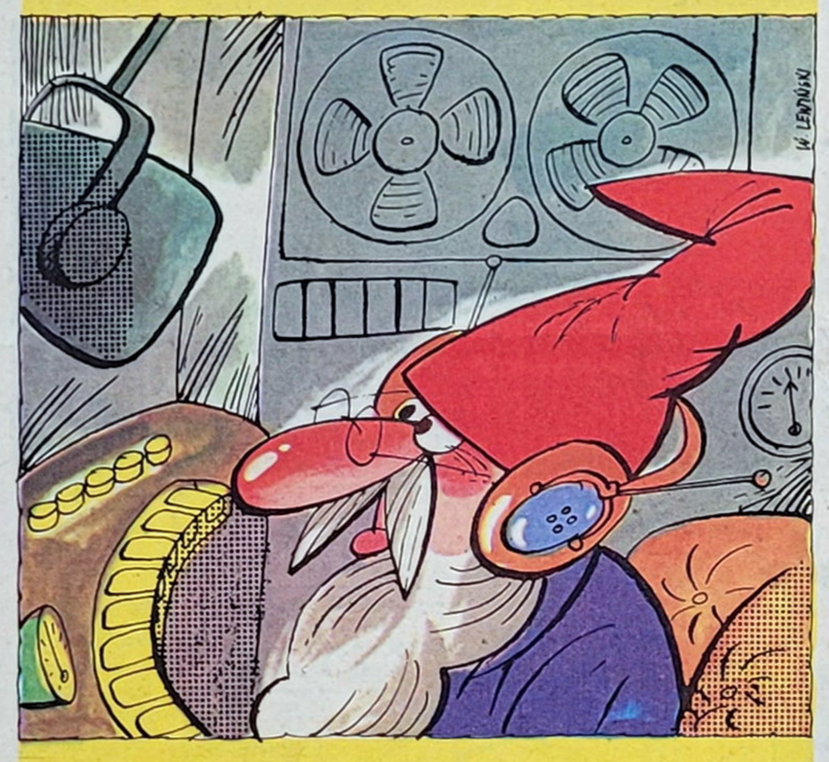

Na obrazku widzimy zasłużonego pracownika naukowego Spółdzielni przy pulpicie sterowniczym Centrum. Może uda mi się przeprowadzić z nim wywiad dla Was, drodzy Czytelnicy!

– Na czym polega pańska praca i jak działa to wspaniałe urządzenie?

– Komputer włącza odpowiednie sektory i podzespoły po wciśnięciu przeze mnie klawisza z datą. Teraz na przykład włączę na chwilkę datę 15 stycznia...

– Brrrrrr... istotnie termometr jak za naciśnięciem guzika spadł tak gwałtownie, że rozleciał się w drobny maczek!

– Otóż to! Wróćmy jednak do naszego wzorowego porządku. Włączam 8 maja...

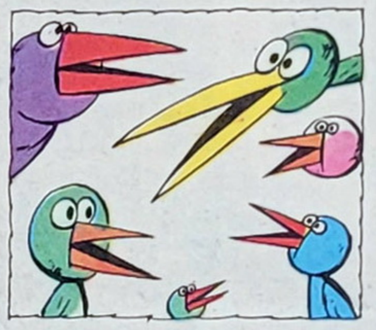

...i wszystko gra! Pardon, śpiewa! Jak pan widzi, w sektorze fonii wszystko już włączone. Słowiki, szpaki, drozdy, wilgi, żaby...

– A łabędzie?

– Łabędzie też, mamy tu jednak chyba awarię. Ani fonii, ani koloru, a obraz tylko czarno-biały.

– No, właśnie. A wizja?

– Bardzo proszę. Sprawdzamy co 20 minut na monitorach.

– Czy te kolory nie zbyt cukierkowe?...

– To chwilowe. Jesteśmy przecież w fazie rozruchu. Za kilka tygodni wszystko się zmieni. A tu mamy klawisz „rozkwitanie". Ten podzespół dotyczy kwiatów i dziewcząt.

– A te klawisze?

– Też wciśnięte. Działają! „Miłość dozgonna" – wyłączy się automatycznie za jakieś trzy tygodnie. „Lenistwo wiosenne" – też. Klawisz „MR" dotyczy tylko niektórych. To skrót naukowy. Oznacza „małpi rozum" z powodu wiosny.

– A nocą, czy wasza aparatura też działa?

– Przełączam centralny przełącznik na „NOC" i komputer sam włącza księżyc, gwiazdy i nocny zefirek...

– A słowiki?!

– Oczywiście! Komputer nie wyłącza ich na noc.

– Zapachy! Jak przekazujecie naszym nosom wiosenną „symfonię zapachów"?

– Drogą hipnozy elektromagnetyczno-telepatycznej.

– Bomba! Mam jeszcze pewną wątpliwość: Miłość. Czy, jeśli nie wyłączy się automatycznie – przepala się tu jakiś bezpiecznik?

– Nnie. Mamy tu sygnał alarmu, ale tym jeszcze nie umiemy zarządzać. Może kiedyś...

– A bo to coś złego, że twoja koleżanka posłyszy, jak to bywa w życiu? Smutnego w nim więcej niż radości, a to smutne to także życie, nie co innego.

Za szybami powoli skapywały grube krople z gankowego daszku, nastroszony wróbel przysiadł na parapecie, zaćwierkał z pretensją.

– Jak ty teraz, dziecko, pójdziesz w deszcz, bez kurtki, bez parasola? Sukienki szkoda, jeszcze się zniszczy. Weź, Marek, moją parasolkę i odprowadź Różę.

Nieliczni przechodnie odwracali się za nimi, niecodziennie widzi się chłopaka i dziewczynę, z których jedno dzierży parasol, a drugie niesie na ramieniu łopatę.

– Czego to nie wymyślą – poleciała w ślad za nim nieżyczliwa uwaga – ze szpadlami nastała moda spacerować!

– Mnie trudno mówić o dziadku i nie lubię nawet, jak mama go wspomina, wszystko w tych wspomnieniach nie tak, inaczej. Na zdjęciu też nie jest prawdziwy...

Nie przerywała mu. Jeżeli zapyta, Marek urwie swoje zwierzenia, tak jakby zrobiła to ona sama. Są sprawy, o które pytać nie wolno, albo ktoś powie sam, albo nie powie nic.

– Wierz mi, nie wierz, dziadek był bohaterem. Nie opowiadał, wiem to od ludzi, machał ręką: „ot ja, co ja. Robiłem, co kazali". Dostałem od niego nie raz i nie dwa paskiem, a wiesz za co? Za kłamstwo. Zbiłem piłką szybę. „Kto wybił?", pyta dziadek, „Maciek", za chwilę pas w robocie. A kiedy odpowiem: „Ja", dziadek się nawet nie zmarszczy, „Pójdziesz jutro do szklarza", „Pójdę", i na tym się kończyło.

Markowi jest łatwo, od zawsze wie, jakie jest jego dziedzictwo, co się kryło za świstkami dokumentów, za wyblakłymi fotografiami sprzed lat, bez tajemnic, słów więznących w gardle, cichnących, nim zostały wypowiedziane, bez pytań, na które nie można znaleźć odpowiedzi.

– Czy ty... – przez moment stara się sformułować myśl, żeby była jasna jak twierdzenie matematyczne, żeby można było usłyszeć „tak" lub „nie" – czy ty jesteś taki, jak twój dziadek?

Zaskakuje Marka tym pytaniem. To widać w pomrugiwaniu powiek, w niezdecydowanym geście dłoni kreślącej w powietrzu niewidzialną linię.

– Ja? A czy ja w ogóle wiem, jaki jestem?

I potem już pewniej:

– Jak ci w przedszkolu dadzą zadanie trygonometryczne, to czy je rozwiążesz? Nie, umiesz tylko dodawać dwa jabłuszka do czterech jabłuszek i policzysz sobie na palcach, że tych jabłuszek jest sześć. Już umiem liczyć jabłuszka, ale może kiedyś policzę i coś trudniejszego, kiedy się nauczę.

– Musieli umieć, choć się nie uczyli – najdziwniejsze, że Marek zrozumiał, co powiedziała, przytaknął skinieniem głowy. Tak, racja.

Na ulicy było teraz prawie całkiem pusto, chociaż to wcale nie był deszcz, a raczej deszczyk, mżawka, niechętnie kapiące krople.

– Mnie się czasem wydaje, że ja bym także mogła... – utknęła. To wydawanie jest dziecinne i ona, Róża, w gruncie rzeczy zdaje sobie sprawę, że za mało wie o samej sobie, aby z całą pewnością wyznaczyć własne możliwości. Można sobie pomarzyć, że wystarczy wejść na bieżnię, by pobić rekord świata i zdobyć złoty medal, to nie znaczy wcale, że wyjdzie się na tę bieżnię i uklęknie w blokach startowych, aby sprawdzić, jak będzie rzeczywiście.

Najnieoczekiwaniej rozgniewał się po tym wyznaniu.

– Trzymaj parasol jak trzeba albo zamknij. A o to, o co pytałaś, zapytaj mnie za jakieś trzydzieści lat, coś już powinienem wiedzieć na ten temat.

Z trzymaniem parasola miał rację. Róża trzymała go jak tarczę za plecami, niespieszne krople spływały po czole, po policzkach, ale z tym gniewem nie miał słuszności. Z kim będzie rozmawiała, jak nie z nim? Zgoda, jej pytania nie są najmądrzejsze, ale rzadko ktoś bywa mądry, kiedy ma dopiero czternaście lat. „Kto pyta, nie błądzi – ogłasza pan od matematyki, nim sięgnie po dziennik. – Są pytania? Wszyscy wszystko rozumieją?"

– Nie będziesz nic wiedział za trzydzieści lat.

– Skąd ta pewność?

– Jeśli ci się zdarzy akurat za trzydzieści lat to najważniejsze, to będziesz wiedział. A jeżeli się nie zdarzy, nie będziesz.

– Jakie najważniejsze?

– Tego nie wiem, dla każdego to musi być inne.

Ogon psa lekko zawachlował, kiedy oboje przeszli przez dziurę w płocie. Tygrys miał dosyć roli groźnego stróża.

– Ogromne psisko.

– Pewnie pójdzie za nami. – Jakby na potwierdzenie, Tygrys dźwignął się i przełamał w karku. Z nisko zwieszoną głową ruszył w bzowy gąszcz.

– Istna dżungla. Tarzan tu przypadkiem nie mieszka? I przydałyby się ze dwa lamparty.

– Dwóch nie mam, widziałam tylko jednego.

– Trudno, niech będzie jeden.

Cdn.

W TYM MIEJSCU ZACZYNA SIĘ:

ANTRESOLKA PROFESORKA NERWOSOLKA

(oraz jego gospodyni, Entomologii Motylkowskiej)

ODC. 12

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

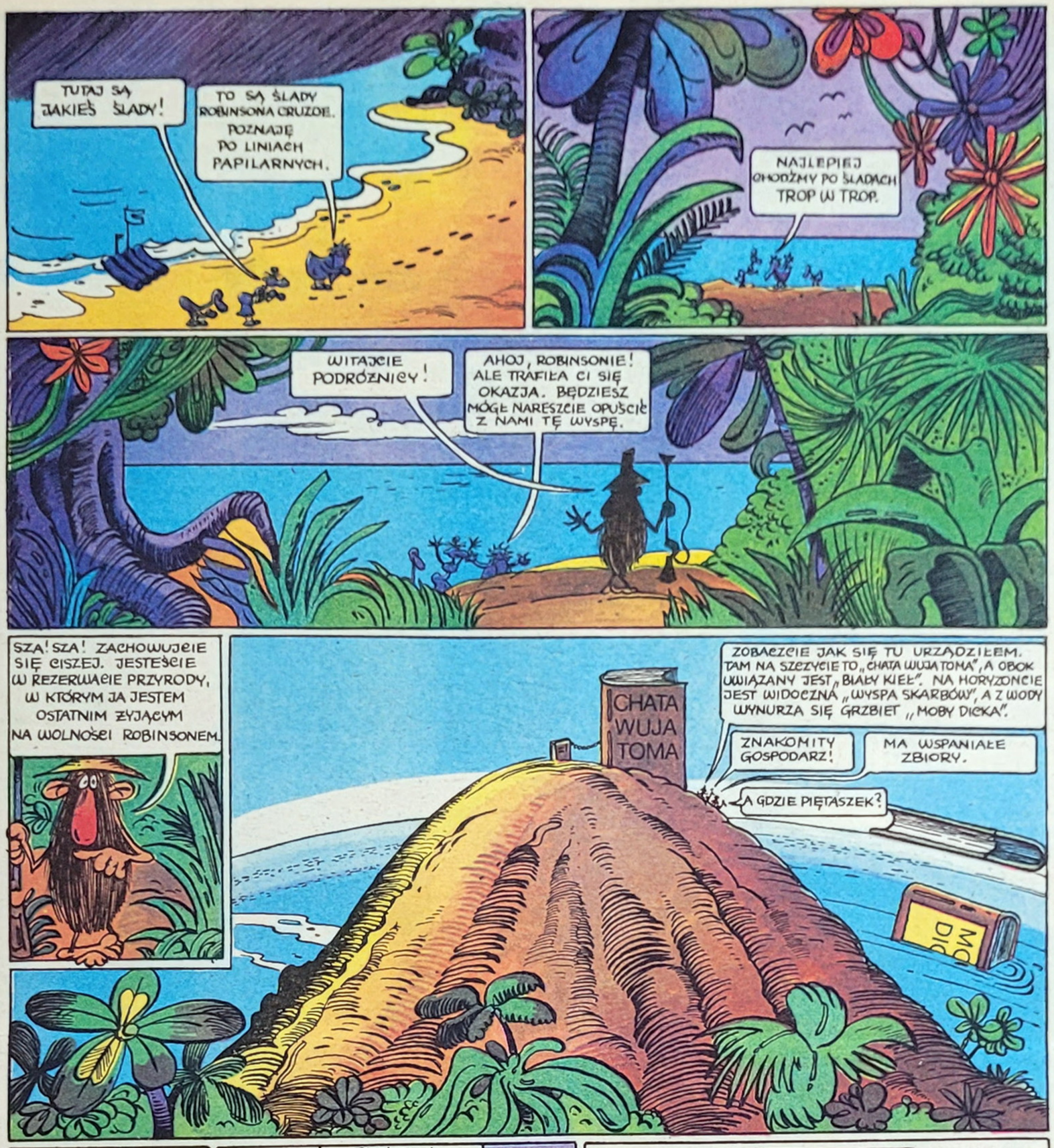

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Was

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 2734/G

D-43

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

● Dwadzieścia lat temu Wojciech Siemion, młody aktor wywodzący się ze wsi, chlubiący się w sposób dość ostentacyjny swą chłopskością, rozpoczął wędrówkę ku Petrykozom. I wreszcie zdumionym oczom zaproszonych objawiła się – WIEJSKA GALERIA SZTUKI. Całą tę, niezmiernie ciekawą historię, znajdziecie w art. pt. „Panie sąsiedzie, dwóch panów do pana!"

● W Lidze Reporterów – jak zwykle doświadczenia Waszych rówieśników. Tym razem: czyn społeczny – przyjemnie i pożytecznie.

● Korespondencja naszych specjalnych wysłanników „W pełnej gotowości..."

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

32

– Podoba ci się nasze miasto?

– Bardzo.

Matka Marka poczłapała się ku drzwiom, wyjrzała na pokapujący deszcz.

– Jak go znam, cały składzik na nic przewróci, a nie znajdzie czego potrzeba. Straszny bałaganiarz z tego mojego syna. Chyba skoczę z pomocą.

Zwracała się do Róży, jakby ją znała od pieluszek, a Róża, zwykle skrępowana w towarzystwie mam dziewczyn z klasy, też nie wiadomo czemu czuła się przy tej zupełnie nieznajomej kobiecie swojsko i tak zwyczajnie, że aż ją to dziwiło.

Poszukiwania szpadla przedłużały się. Róża obejrzała sobie zdjęcie mężczyzny w wojskowym mundurze w ramce wycinanej laubzegą, oczy wojskowego patrzyły srogo wprost przed siebie, pierś przecinała linia orderowych baretek. A to na pewno ulubione książki Marka. „Trylogia" (Róża także lubi „Trylogię"), „Trzech muszkieterów" (tego brakuje na jej półce) „Sposób na Alcybiadesa" (trochę za dziecinna lektura jak na takiego starego konia!) „ORP Orzeł zaginął" (nie dla niej), „Dywizjon 303" (lektura) „L – jak Lucy" i „Żądło Genowefy" (nie zna), Lem, Bradbury, Strugaccy, Fiałkowski, „Encyklopedia techniki wojskowej", „Historia Polski", „Niełatwo być dziewczyną" (dziwne, nie podejrzewała Marka o takie lektury, warto to przejrzeć).

– Skąd to u mnie? – prawie wyszarpnął jej książkę. Oczywiście Justyna była łaskawa zostawić – i żeby nie było żadnych wątpliwości: – Nawet nie wiem, co to za łzowyciskacz.

Róża chętnie podjęłaby rzuconą rękawicę, ale trudno bronić książki, której się nie czytało, musi milczeć, udać że nic jej nie wzrusza negatywna ocena czegoś, co chętnie by przeczytała.

– Szpadel został odnaleziony dzięki mojemu geniuszowi. Ktoś posłużył się nim jako podpieraczem do drzwi. Gdyby nie ja, odnalazłby go dopiero po tysiącleciach jakiś archeolog, ale ponieważ ja istnieję, więc proszę bardzo; oto on w całej krasie.

– Oj, ten Marek, ten Marek. Ty się nim, dziecko, nie przejmuj, on się zawsze lubi wygłupiać.

Spojrzenie kobiety wędruje w ślad za spojrzeniem Róży.

– Marka dziadek, a mój teść. Chcieliśmy tę fotografię do ramiarza zanieść, ale chłopak się zaparł, sam tę ramkę wycinał i wycinał, aż wreszcie była taka, jaką sobie umyślił. Dzisiaj by pewnie ładniejszą zrobił, bo to już w zeszłym roku było.

– Mamo...

– Czemu się wstydzisz, że byłeś bardzo za dziadkiem? Teść jego prosił, żeby się rzeczami po nim zajął i co trzeba, do izby pamięci przekazał, nie męża, choć to syn rodzony, a wnuka prosił – kobieta otarła łzę. – Jeszcze nikt złego nie przeczuwał, a teść już wiedział. Do szpitala w dobry miesiąc później go zabrali.

– Mamo, proszę...

Dokończenie na str. 7